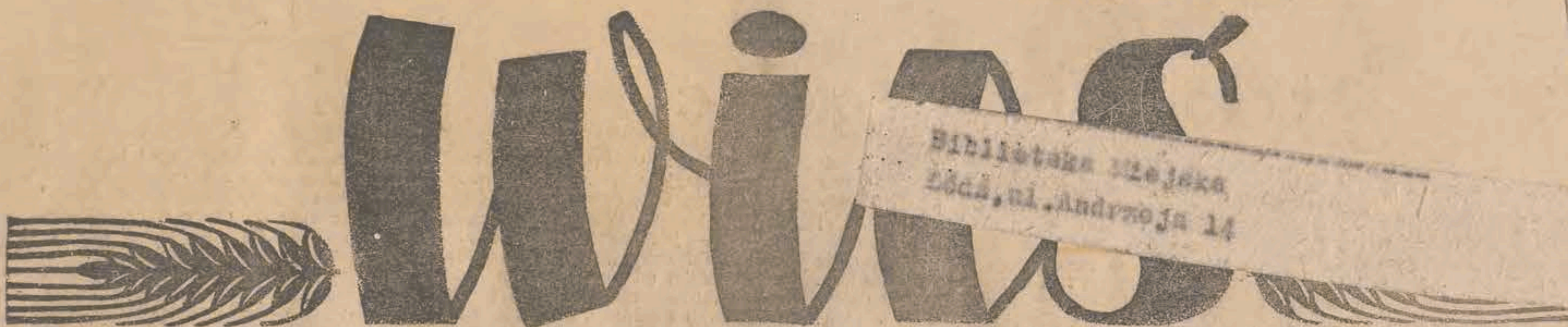
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł



TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 8 czerwca 1947 r. | Nr 23 (102)

Ksawery Piwocki

Rola sztuki ludowej w dzisiejszej kulturze

Referat wygłoszony na zjeździe Centralnego Instytutu Kultury w Zakopanem

I.

Żeby mówić — trzeba sprecyzować samo pojęcie: **co to jest sztuka ludowa.**

Trzy możliwości w używaniu tego pojęcia:

a) Sztuka produkowana przez artystów (lub pseudoartystów) dla ludu wiejskiego n. p. w dziedzinie literatury: sztuki teatralne pisane dla ludowych scen amatorskich, literatura jarmarczna, w dziedzinie plastyki np. dewocjonalia przeważnie robione w Wrocławiu przez Niemców, albo wzorowe chaty, stawiane przez architektów na osiedlach komasowanych przed wojną i projektowane przez odpowiednie wydziały Ministerstwa Odbudowy obecnie. Jest to sztuka dla potrzeb ludu — właściwie nie ludowa.

b) Za sztukę ludową uchodzi niekiedy sztuka tworzona przez artystów, jacy wyszli z klasy chłopskiej, lub w formach swej twórczości starają się zbliżyć do sztuki, tworzonej przez lud. Tu należą w literaturze dzieła t. zw. poetów chłopskich, formalnie nie różniące się niczym od prac poetów miejskich, posiadające tę samą problematykę treściową i formalną, a łączy ich ze sobą — i pozornie różni od innych — jedynie ich chłopskie pochodzenie. Tu również można zaliczyć prace plastyków oparte na szczerym lub sztucznym przeżywaniu form zaczerpniętych ze skarbca plastyki ludowej. Tu musimy np. wspomnieć o działalności Witkiewicza w budownictwie i zdobnictwie zakopiańskim, o pracach niektórych grafików szkoły warszawskiej, a w złym znaczeniu o olbrzymiej ilości różnych pamiątek rzezanych i lepionych, o różnych kilimach gliniańskich itp. Cechą tych dzieł jest to, że one wcale i nigdy nie były przez lud używane, a w swych złych i najgorszych przykładach wręcz okradają lud w sposób artystycznie nieudolny z jego wartości i mącą pojęcie o istotnym znaczeniu i walorach jego rodzimej twórczości.

c) Sztuka tworzona przez lud dla własnego użytku, o specjalnych, swoistych cechach, o własnym, sobie właściwym, wyrazie stylowym, zarówno formalnym, jak i technicznym.

II. CECHY SZTUKI LUDOWEJ

a) Cechy formalne. Ograniczę się do plastyki. Prymitywizm formy, ale i jej celowość wypracowana w ciągu tradycyjnego powtarzania. Zasadnicza anonimowość tej twórczości, szczerość i rzetelność wypowiedzi i ujmująca naiwność. Porównanie ze sztuką dziecka. Formy używane przez dziecko i lud tak długo go zadawalają, jak długo nie dostrzega ich prymitywizmu, jak długo widzi w nich istotne wypowiedzenie się. Formy te w sztuce przedstawiającej są dalekie od naturalizmu, a w sztuce zdobniczej oparte o tradycję.

Siła asymilacji. Sztuka ludowa czerpała i czerpie ze sztuki oficjalnej, ale przetwarzała ją na swój styl, wartościowy artystycznie, tak długo, jak długo artysta ludowy miał własną wizję plastyczną i własne nawyki kształtowania.

b) Cechy techniczne. Procedery techniczne — oparte albo na prymitywnym narzędziu, albo — co częściej — na tradycyjnym procederze. Wiemy, że homo faber — opierał swą wiedzę i swe umiejętności na przekazywaniu ich wprost w pracowni z ojca na syna, z mistrza na ucznia. Ten system zapewniał dziełom ich rąk doskonałość i logikę kształtu i funkcjonalność formy, wykształconej w ciągu niezliczonych z reguły pokoleń. Czy to systemy tkactwa (dywany dwuosnowowe białostockie), czy kilimiarstwa, czy procedery barwienia, czy sposoby mieszania gliny garncarskiej i jej obróbki — zawsze stoi to w sztuce ludowej na wysokim poziomie technicznym. To samo widzimy w budownictwie i to samo w malarstwie na szkle etc. Homo sapiens czerpiący wiedzę, umiejętności z książek zatraca te wiadomości i skłonny jest do przyśpieszania produkcji także artystycznej ze szkodą dla wartości i solidności swych dzieł. Już w XIX w. dostrzeżono niebezpieczeństwa tego systemu kształcenia i stąd akcja Ruskina, Morisa, u nas m. in. krakowskiej szkoły sztuki stosowanej, na terenie Warszawy grupy Ładu, Heleny Schrammówny ect. Ocalenie umiejętności technicznych homo faber ma dla sztuki, szczególnie zdobniczej, poważne znaczenie.

III. WARUNKI TWORZENIA SIĘ ODRĘBNEJ SZTUKI LUDOWEJ

Socjologia uczy nas, że każda grupa społeczna, posiadająca specjalne, specyficzne warunki bytowania — tworzy własne formy kulturalne, a więc i własną sztukę. (Kultura i język więzienny, koszarowy, oflagi, szkoła, zamknięte kręgi religijne, Żydzi, Sikhowie w Indiach, cyganie etc.). Feudalny podział społeczeństw na klasy silnie od siebie odgrodzone stworzył osobne kręgi kulturalne dla każdej z nich. Póki w Polsce kultura rolnicza żyła wspólna dla całości społeczeństwa, począwszy od dworu książęcego za Piastów, a kończąc na chacie wolnego czy niewolnego kmiecia — tak długo istniała u nas jedna wspólna ogólnonarodowa kultura. Ale pod wpływem religii chrześcijańskiej i łacińskiej kultury warstw wyższych, a potem pod wpływem dworskiej kultury najpierw dworu królewskiego i biskupich, potem magnatów i wyższej szlachty od schyłku średniowiecza, pod wpływem urbanizacji istotnej większych ośrodków miejskich etc. — tworzy się zwolna przepaść między kulturą wsi niewolnej, przywiązanej do gleby, a kulturą innych warstw czy klas. Pochodne poddaństwa przetrwały u nas daleko w głąb XIX w., a nawet pewne nawyki kulturalno - ustrojowe aż po rok 1939. Oczywiście w tych warunkach musiała się wytworzyć odrębna kultura, a więc i sztuka ludowa. Posługuje się ona treściami kulturalnymi czerpanymi z warstw tak zw. wyższych, ale przetwarza je spontanicznie na własny wyraz stylowy.

IV. STAN OBECNY

a) Urbanizacja wsi przed wojną. Szkoła, uświadomienie polityczne narodowe, warunki komunikacyjne, nowe procedery techniki rolniczej, masowe migracje ludności za zarobkiem w końcu XIX i w XX w — niszczą stopniowo odrębność kulturalną chłopa. Wraz z tym zanika i sztuka chłopska, ale zjawisko to nieuchronne i w sumie konieczne i pożądane — nie zawsze miało i ma pozytywne wartości: 1. Chłop może przez zdobycie wiedzy ogólnonarodowej, ogólnonarodowej świadomości kulturalnej wejść w orbitę tej ogólnonarodowej kultury i jakby wrócić do stanu pierwotnego, gdy cały Naród łączy jedna kultura. Wtedy jest konsumentem i współtwórcą wspólnej kultury miejsko-wiejskiej. 2. Chłop przez zmiany zaszłe w jego bytowaniu traci kulturę i sztukę własną, a nie nabywa innej, albo co najczęściej bierze nie kulturę ogólnonarodową, lecz jej odpadki i odpryski i asymiluje je jako wartości wyższe.

b) Enklawy sztuki ludowej przed wojną: dwie grupy. 1. Grupa zapóźniona społecznie i kulturalnie na Ziemiach Wschodnich, w górach, lasach. 2. Grupa świadoma swych wartości klasowych: Łęczyckie, potem zakopiańszczyzna. Tu należą przykłady z zagranicy: Szwajcaria, Szwecja, Finlandia, Węgry.

c) Dziś rozsypanie środowisk. Wschód — garncarze, tkacze. Migracje w olbrzymiej skali ect... Niepokalana sztuka ludowa bodaj czy gdzie przetrwała, a w każdym razie warunki społeczne i nowe warunki gospodarki wiejskiej nie wróżą jej dłuższego życia. Sądzę, że wszyscy się zgodzimy, że nie należy i nie można wstrzymywać rozpędzonego koła historii, tworzącej z odrębnych dotąd kultur klasowych: szlacheckiej, mieszczańskiej i chłopskiej — jedną wspólną kulturę polską.

Ale chodzi o to, żeby ta wspólna kultura była naprawdę wartościowa. Musi ona zaczerpnąć wartości i treści kulturalne najlepsze z dotychczasowych odrębnych i musi je umieć dalej rozwijać. Nie widzę żadnego sensu w tym, aby chłopi koniecznie musieli się wyrzec własnych zdobyczy kulturalnych stworzonych w dobie ich separacji przymusowej w kulturze własnej — ludowej.

V. WARTOŚCI SZTUKI LUDOWEJ

Poczucie niższości wypracowane zostało wśród chłopów przez ich wielowiekową niewolę. Nasz chłop w XIX i początku XX w., z radością rzucał strój i obyczaj, gardził swoimi nawykami estetycznymi, wstydził się swej własnej sztuki i kultury. Przechodząc ewolucję, przechodząc do innych klas społecznych czy na inny stopień kultury — rozstawał się bezpowrotnie ze swoją i przechodził w całkowicie inny, obcy krąg kulturalny. Sztuką ludową snobowali się u nas inteligenci i szczyty artystyczne, ale proletariusz świadomy zacierał ślady swego pochodzenia po przejściu do miasta. Wina po stronie historii i po stronie działaczy, którzy pragnąc wyzwolić go z wszelkich zależności kulturalnych i społecznych—kazali mu ze wstrętem porzucać wszystkie wspomnienia czy nawyki jego poprzedniej przynależności kulturalnej. Sądzę, że w dzisiejszych warunkach ustrojowych ten — zrozumiały poniekąd pęd — jest już nieaktualny.

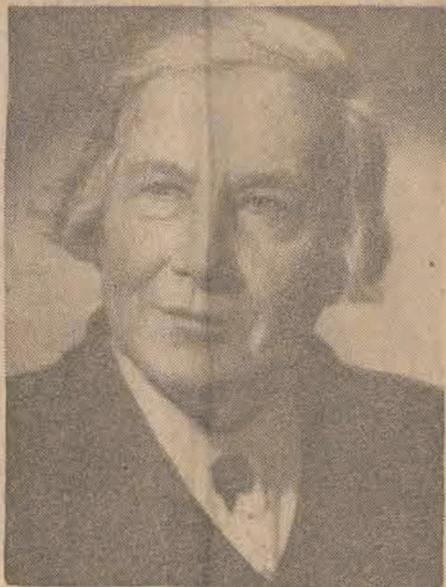
Jakie wartości można zaczerpnąć ze sztuki ludowej?

a) Artystyczne. Szczerość przeżycia i doskonałość formy z nim zgodna. Jeszcze ważniejsze są procedery techniczne, które lud ocalił w swej sztuce tradycyjnej.

b) Wartości ekonomiczne. Wieś jako konieczny warsztat pracy ręcznej. Szczupłość ziemi, powolny odpływ nadmiaru ludności, konieczność jej zatrudnienia. Przykłady: Rosja i kustarnyj promysł, Szwajcaria, Szwecja ect.

VI. CO SIĘ DA OCALIĆ I JAK:

Uświadomienie o wartości własnej sztuki i konieczności ocalenia przede wszystkim procederów technicznych. Organizacja zbytu dla kraju i zagranicę. Uświadomienie o wartości artystycznej i materialnej dzieł sztuki ludowej i wzbudzenie dumy z ich posiadania i tworzenia. W ten sposób próby zorganizowania zbytu na samej wsi. Nie dziwię się, gdy chłop nie chce dzisiaj chodzić w rogatywce i sukmanie, ale chciałbym, żeby we wnętrzu swej chaty miał dobre własne tkaniny, a nie tandetę miejską, żeby miał dobre garnki, obok dziś koniecznych żelaznych czy aluminiowych, ale by nie kupował tandety poniemieckiej, wyszabrowanej na Śląsku ect. Chcę, by utalentowane jednostki przechodząc do szkół ogólnonarodowych nie wstydziły się stosować tradycyjnych procederów technicznych przy tworzeniu swych dzieł, ale odwrotnie: by uczyły swych kolegów miejskich ich użycia i stosowania i dały nowy wkład do kultury ogólnonarodowej.



Helena Orsza-Radlińska, profesor pedagogiki społecznej na Uniwersytecie Łódzkim, obchodzi 50-letni jubileusz pracy społecznej i naukowej.

ZJAZD PUBLICYSTÓW TYGODNIKA SPOŁECZNO-LITERACKIEGO „W I E Ś”

Z KOŃCEM CZERWCA B. R. REDAKCJA URZĄDZA ZJAZD PUBLICYSTÓW „WSI" (W LICZBIE OKOŁO 100 OSÓB) W WOJEWÓDZTWIE KIELECKIM W REJONIE GÓR ŚWIĘTOKRZYSKICH. ZJAZD TRWAĆ BĘDZIE TYDZIEŃ. WYPEŁNIĄ GO ODCZYTY, KONFERENCJE, KOMISJE I WYCIECZKI. WOJEWODA KIELECKI WIŚLICZ ZAPROSIŁ PISARZY „WSI" W TYM ROKU, WIERZĄC, ŻE ZA JEGO PRZYKŁADEM W LATACH NASTĘPNYCH INNI WOJEWODOWIE ZAPRASZAĆ BĘDĄ NA ROCZNE ZJAZDY PISARZY „WSI". — BLIŻSZE SZCZEGÓŁY PODAMY W NASTĘPNYM NUMERZE I W ZAPROSZENIACH. REDAKCJA.

Helena Brodowska

Drogi inteligencji polskiej

Siły społeczne w końcu XIX i w początkach XX w. rozwijały się w trzech płaszczyznach:

1) Odejście, a przynajmniej uciekanie warstw szlachecko-ziemiańskich i bogatego mieszczaństwa od procesów gospodarowania. Zubożała warstwa ziemiańsko - szlachecka i zbankrutowane mieszczaństwo nie miało przed sobą widoków rozwojowych w kraju „półkolonii", w Galicji i Królestwie, co wyraziście maluje J. Kott w „Kuźnicy". Uciekając od rzeczywistości ekonomiczno - społecznej, górne sfery społeczeństwa zamknęły się w dziedzinie życia artystyczno-towarzyskiego. Nieliczne tylko jednostki poświęcały się pracy naukowej, ta bowiem wymagała trudu. Praca nie była w warstwie inteligenckiej popularna, co dostatecznie wykazał prof. J. Chałasiński w książce „Społeczna genealogia inteligencji polskiej".

2) Opłakane położenie społeczno-ekonomiczne i kulturalne wsi. Sytuacja wsi w b. Królestwie nie biła w oczy tak jaskrawą nędzą jak w Galicji, lecz i w Królestwie widoków rozwojowych rolnictwo nie miało. Rynek krajowy zalewany zbożem z Rosji, otwarte rynki celne w Królestwie ze Wschodu i Zachodu ograniczały możliwości chłopów polskich w sprzedaży własnych produktów i nabywaniu potrzebnych narzędzi pracy, odzieży czy innych wytworów przemysłowych, utrzymując stopę życia ludności wiejskiej ciągle na bardzo niskim poziomie. Do pełniejszego obrazu należy dodać bardzo niski stan oświaty — powszechny analfabetyzm, zupełny brak książki na wsi i najprymitywniejszych instytucji kulturalnych.

3) Walki proletariatu o nowy ustrój społeczny. Wystarczy wspomnieć wielki proces 200 działaczy „Proletariatu" odbywający się przed warszawskim sądem wojennym w 1886 r. („Kuźnica" Nr 18) odbierający życie L. Waryńskiemu, St. Kunickiemu i 29 innym wybitnym radykałom. Ruch społeczny hamowany był w rozwoju niemożnością prowadzenia własnej niezależnej polityki państwowej, przez co ścierał się nieustannie z dążeniami niepodległościowo-narodowymi.

Procesy społeczne drugiej połowy XIX w. zepchnęły górne warstwy ziemiańsko-arystokratyczne od przodowniczej roli.

Słaby zawsze w Polsce stan mieszczaństwa nie zdołał uchwycić steru w swoje ręce.

Na czele życia narodowego Polski pozbawionej bytu państwowego staje grupa inteligencji zawodowo pracującej rekrutująca się z szeregów zubożałego ziemiaństwa, które znalazło oparcie na miejskim bruku oraz nielicznych synów i córek możnych domów mieszczańskich.

Ziemiańsko - szlachecka inteligencja polska w większości swojej tonie w tradycjonaliźmie i obyczajowości mieszczańsko - ziemiańskiej. Pracę zawodową sprowadzała najchętniej do czynności biurokratycznych. Przyjętej zasadzie uciekania od procesów gospodarstwa towarzyszył proces masowego urzędniczenia miast. Rosły miasta nie mające fabryk, nie posiadające składów handlu hurtowego jak np. Lublin, nawet Warszawa i Kraków, posiadające natomiast do dziś liczne rzesze urzędników rytmicznie codziennie idących do biura z teczką pod pachą.

Nieliczni z nich wzrośli w kulcie nauki, i techniki przekształcającej do gruntu formy produkcji. Ci nieliczni osiągnęli przewodnictwo w życiu narodowym polskim.

Z. Dębicki członek obozu wcale nie przeciwnego ziemiaństwu i inteligencji powie po latach: „zasób woli był słaby, zwłaszcza w tych warstwach, które rozporządzały odpowiednimi środkami materialnymi i stosunkami. Te właśnie warstwy dobrowolnie wypuściły z rąk swoich przewodnictwo, pozwalając młodzieży uniwersyteckiej, a nawet gimnazjalnej (co miało miejsce w latach 1905—1906) ujmować w swoje ręce bez żadnej kontroli starszych całą niemal reprezentację ideową narodu i całą walkę o lepsze jutro."

W warunkach zupełnej słabości narodu polskiego wynikającej z ekonomiczno-społecznego zubożenia szlachty i mieszczaństwa, z wyniszczenia organizujących się sił proletariatu oraz ciągle dużej biernoty i ciemnoty mas chłopskich, grupka ruchliwej i nerwowo uwrażliwionej inteligencji reprezentowała sobą pewną siłę. Była to siła intelektualno-moralna.

PRYMAT NIELICZNYCH Z INTELIGENCJI

Pokolenie młodych, prężnych i patriotycznie rozbudzonych jednostek stanęło na czele życia narodowego Polski.

Działalność polityczno-administracyjna była zakazana .

Działalność gospodarcza — nie nęcąca i nie rokująca nadziei w kolonialnej grze sił.

Dwie tylko dziedziny życia były dostępne, nie hańbiące imienia Polaka, to: praca oświatowa i praca społeczna.

Wystarczy sięgnąć do kart odsłaniających życie podziemne Warszawy przed 1905 rokiem, ażeby zobaczyć liczną ilość kółek samokształcenia, tajnych kompletów, wykładów powszechnych z zakresu przyrody, botaniki, fizyki i biologii. Były to przedmioty między którymi „przemycano" historię Polski i literaturę ojczystą.

Liczne rzesze nauczycieli i nauczycielek pochodziły przeważnie ze sfer, które do niedawna „bakalarstwem" pogardzały. Z wolnych zawodów, adwokaci, lekarze, inżynierowie obok obowiązków zawodowych chętnie udzielali się w „latających uniwersytetach". Wystarczy odwołać się do wychodzącego ówcześnie a najlepszego do dziś „Poradnika dla Samouków" redagowanego przez St. Michalskiego, ażeby stwierdzić, że praca oświatowa nie była po dyletancku prowadzona. Brały udział w tym ruchu oświatowym najbardziej wykształcone jednostki.

W walce o język polski, w walce o szkołę polską rozszalała fala strajków i buntów młodzieży w 1905 r., uczęszczającej dotąd do rosyjskich lub na pół rosyjskich gimnazjów. Opuszczone przez młodzież mury szkolne zmusiły rząd zaborczy do ustępstw i wprowadzenia języka polskiego jako przedmiotu nauczania w szkole.

Obok walki o język, szła nurtem podziemnym nauka historii i dziejów kultury polskiej.

Każdy dom polski w Warszawie był wpleciony w te prace oświatowe. Wystarczy sięgnąć do pamiętników z tego czasu, aby zobaczyć wielką pracę Sempołowskiej, Meyhertówny, Radlińskiej, Jahołkowskiej — nauczycielek i działaczek organizujących wychowanie społeczno-narodowe młodej inteligencji. Ruchowi temu przyświecała ideologia głoszona przez filozofa i socjologa Edwarda Abramowskiego, który głosił, że „w stowarzyszeniach i związkach przyjaźni tkwi siła narodowa".

W przyjacielsko-towarzyskich kręgach polskich rodzin Warszawy kwitnie ożywiona działalność filantropijna. Tworzone są fundusze ze składek i zbiórek na tajną oświatę, na wydawnictwa popularne dla ludu, na zakładanie rolniczych ferm kształcenia chłopskiej młodzieży. W domu I. Kosmowskiej gromadzone były pieniądze z ofiar na kupno ośrodka w Krosieninie koło Lublina dla założenia (do dziś istniejącej) szkoły rolniczej żeńskiej.

IDEA NARODOWA

Dla określenia wszelkiej swoistości, przejawiającej się w kulturze, polityce, gospodarce ludzi mieszkających w granicach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, przyjęło się ogólne określenie: „narodowe — polskie".

Jest to pojęcie, które podobnie jak „państwo" przechodzi koleje historycznej zmienności. „Naród" w dobie panowania królów dynastycznych znaczyło — król i szlachta. W dniu uchwalenia Konstytucji wprowadzającej mieszczaństwo do współodpowiedzialności za losy państwa brzmiały okrzyki: Wiwat król! Wiwat wszystkie stany! — co znaczyło: szlachta, mieszczaństwo i duchowieństwo. Chłopi musieli długo jeszcze czekać na uznanie go za stan, który wchodziłby w pojęcie narodu.

Katastrofa polityczna Polski, a za nią utrata własnej państwowości sprzyjały kultywowaniu słowa „naród", które znaczyć miało „Polska".

Niemożność prowadzenia samodzielnej polityki i gospodarki państwowej—państwa, pozostającego pod wpływami trzech różnych zaborców sprzyjały temu, że sprawa narodowa polska stawała się coraz bardziej czymś oderwanym, „kwestią literacką i dogmatem religijnym" — jak powie R. Dmowski. Narodowość Polski doby pozytywizmu oddalała się coraz bardziej od realnych form bytu gospodarczego, przechodząc w sferę idealistyczno-mistycznych koncepcji. Pojęciowemu ujmowaniu bytu narodowego sprzyjała myśl filozóficzna idąca od sąsiadów z Zachodu. Duch pruski krzepił filozofię Nietzschego idealisty i moralisty. Jego idee społeczno-moralnego bytu narodu przyjmowały się łatwo na gruncie polskim, gdyż „byliśmy w stanie posiadania ducha narodu" pozbawionego wszelkiego kształtu realnego państwa. Rośliśmy i potężnieli w sferze pojęciowego ducha, zatracając coraz bardziej zdolność realnego działania.

Ratowały sytuację narodową nadzieje wiązane z utrzymywaniem bytu narodowego w różnych formach działalności gospodarczej. Ile nadziei wiązano z założonym w 1858 roku Towarzystwem Rolniczym! Wystarczy przytoczyć to, że ówczesne partie polityczne wymagały od Tow. Rolniczego żeby w 1861 r. ogłosiło uwłaszczenie włościan. Mówiono „Dziś Towarzystwo przedstawia nasz kraj".

Garstka inteligencji drogą dużego wysiłku i pracy intelektualnej narzuciła ogółowi społeczeństwa nowy ideał życia. Postawiła wobec perspektywy nowej wojny, a z nią obudziła nadzieje odzyskania niepodległości. Rzecz polegała na przygotowaniu ogółu społeczeństwa polskiego do podjęcia walki zbrojnej przeciw zaborcom.

Z zamierzeniami, rodził się nowy ideał wychowania narodowego. Nie wystarczały ideały narodowo-społeczne doby pozytywizmu. „Potrzeba było skrzydeł — powie H. Radlińska — ażeby przenieść polską narodowość pozytywistyczną w narodowość budującą silnego i prężnego ducha. Urastało znaczenie górnych słów rozgrzewających serce".

Rosła znowu narodowość polska — poza gospodarcza. Narodowość żyjąca w sferze ducha, ponadmaterialna i nie polityczna, objawiająca się w kulturze duchowej w formach twórczości artystycznej, literackiej i naukowej. Narodowość odznaczająca się wielkim uznaniem wartości etyczno - moralnych, którymi naród polski miał otworzyć innym „odrzwia do dziejów karty" jak mówiła poetka.

Naród polski — znaczyło byt idealny kultywowany w mowie polskiej, w pieśni patriotycznej, w uczuciu miłosnym do ziemi ojczystej, w uznaniu surowych zasad etyczno-moralnych.

Wyrazem zgodności poczynań narodowych była „Liga Narodowa". Organizacja zawiązana w 1887 r. na zamku Hilfikon w Szwajcarii przez Z. Miłkowskiego i L. Michalskiego, a na ziemie polskie przeniesiona w 1893 r. Zadaniem głównym organizacji tej było wciągnięcie ludu do pracy narodowej. Droga główna prowadziła przez oświatę ludową, którą uważano za podwalinę wszelkiej dalszej pracy. „Bez oświaty nigdy nie będzie można martwej bryły poruszyć" — mawiano. Zorganizowanie pracy oświatowej w kraju wzięła na siebie „Liga Narodowa". Początkowo skupiała w swoich szeregach organizacyjnych zarówno działaczy obozu narodowego jak i socjalistycznego. Przewodził Lidze R. Dmowski czołowy przywódca obozu narodowego, członkami byli B. Limanowski, L. Wasilewski znani historycy i działacze socjalistyczni. Liga w początkowym swoim okresie do 1904/5 r. stanowiła pewnego rodzaju labirynt ludzi różnych obozów ideologicznych i labirynt organizacyjny rozlicznych przybudówek.

W organizacjach pod patronatem Ligi w XIX i w zaraniu XX w. brały udział — powie Z. Dębicki „wszystkie najwybitniejsze jednostki spośród młodzieży obojga płci. To była szkoła, przez którą przechodził każdy początkujący konspirator, zanim po szczeblach drabiny podziemnej dostawał się do punktu, z którego mógł już okiem ogarnąć szersze i dalsze perspektywy walki politycznej". Obok głównych zadań oświecania ludzi, chodziło w Lidze jeszcze o jednanie zwolenników dla określonej idei społeczno-politycznej, co przyszło znacznie później i podzieliło zgodny obóz pracy na przeciwne sobie polityczne grupy.

W latach 1903/4 wyznawany dotąd zgodnie patriotyzm narodowy objawiający się w rozlicznych akcjach oświatowych i samopomocowych zostaje poddany krytyce i rewizji.

R. Dmowski w początkowym okresie sterowania polityką obozu narodowego wyrażał tendencje nawiązania żywych nici z Rosją, aby wprowadzić naród na szerokie pola działalności gospodarczej i politycznej. Twierdził że „zacieśnianie pola narodowego czynu... i sprowadzenie zabiegów narodu do spraw prostych, elementarnych, nie przedstawiających zadań dostatecznie szerokich i skomplikowanych, a stąd niedających właściwej pracy umysłom szerszym i odpowiedniego ujścia szerszym energiom, pociąga za sobą ten skutek, że to co jest w narodzie najzdolniejszego pozostaje nieużytkowanem w sferze narodowego czynu".

R. Dmowski jedna umysły polskie dla imperializmu, pokazując patriotyzm wszechbrytyjski wyrażający się w ekspansji kolonialnej, *każe podziwiać zdolności narodu* w zdobywaniu dróg morskich i otwieraniu rynków swemu handlowi — i twierdzi, że „naród ten nie ma nic ze swych większych zdolności, ze swych lepszych sił do zmarnowania, nie ma on czasu ani usposobienia do niezdrowych orgii".

Rzecz polegała na trudności wyboru o który zabór oprzeć początkową działalność odrodzenia Państwa Polskiego. Początkowo stworzono plan oparcia się o Rosję, by później zmienić kierunek na daleki zachód.

Sprawa czynnego patriotyzmu była już dostatecznie utrwalona w społeczeństwie polskim w przededniu wojny rosyjsko-japońskiej i rewolucji 1905.

Różnica rysowała się między obozami politycznymi w wyborze form patriotycznego działania jak również w zasadach wychowania narodowego.

Grupa obozu narodowego późniejszej partii Narodowej Demokracji widziała drogę stworzenia siły narodowej w pobudzeniu instynktu walki i wprzęgnięciu jednostki w sprawy ogólne narodowe i państwowe.

Warunkiem zapewniającym rozwój sprawy narodowej są ludzie czyści pod względem narodowym (późniejsza teoria czystej rasy).

Ideał wychowawczy kreślony przez Z. Balickiego na II Kongresie Pedagogicznym we Lwowie w 1909, najbardziej miarodajnego wyraziciela poglądów narodowo-demokratycznych, był wzorem żołnierza-obywatela.

„Prawo do bytu niepodległego przysługuje tylko narodom o silnej indywidualności, umiejącym o ten byt walczyć i zwyciężać, zdolnym przeciwstawiać sobie siłę, mścić krzywdy doznane i zapewniać sobie przewagę sprawiedliwości". Duch podziwianych Prus i rosnącego nacjonalizmu w Niemczech był nie bez śladu w tych nowych zasadach wychowania narodowego.

Przeciwstawne stanowisko zajmowała grupa obozu socjalistyczno - patriotycznego, którą reprezentowała H. Radlińska. Obóz socjalistyczno - patriotyczny na elementach kultury i tradycji narodowej polskiej pragnął budzić ducha twórczości, zwracając baczną uwagę na „rolę ludu roboczego".

Poprzez ideologie społeczne poczęła się kształtować myśl polityczna i niepodległościowa początków XX w. Dla przykładu wystarczy odwołać się do faktu, że socjaliści polscy w rewolucyjnych latach 1905 — 1906 r. nawiązują żywe kontakty z socjalistami rosyjskimi. Jedna troska wyzwolenia mas pracujących z ekonomicznego i społecznego ucisku dyktuje podjęcie wspólnych uchwał delegatów narodowości uciskanych przez carat celem prowadzenia wspólnej walki z wrogiem politycznym. Mimo, że kształt realny Polski był w dalszym ciągu zawieszony w sercach narodu tęskniącego do samodzielnej państwowości, idea narodowa pogłębiała się o treść nową — treść społeczną.

Jan Marszałek — *Wiersze z terenu*

NUTKI NABOŻNE

Kiedy ranne
wstają zorze —
ziemia stoi
w mgłach, jak w morzu.

Brzask, jak Chrzciciel
siwy ranek
skrapia blaskiem
krwi rumianej.

Tak z obłoków
słońca patron
błogosławi
ziemi, kwiatom.

Aż do barw i
blasków tylu
przetarł oczy
z ros zawilec.

Aż zabrzęczał
srebrem strumień
w łożach rybie
łuski gubiąc.

Szumią zboża,
drzewa, trawy
— przyjm ich prośby
Boże prawy.

Gdy zadzwonią
kosy żniwem
daj im owoc
sprawiedliwy.

Stanisław Paleczny

PASTERECZKA *)

Rada by ja rada jeszcze se pospała,
a tu matuś krówkę popaść mi kazała.
Zimna rosa szczypie bose moje nogi,
nie wzięłam trzewiczków, mój Ty Boże drogi.

Czarna moja krówka gwiazdkę ma na czole,
spokojna, nie biega przez szerokie pole.
Oj, ty krówko moja, co mi mleko dajesz,
ja cię tam zawiodę, gdzie się dobrze najesz.

Potem cię napoję w tej krynicznej wodzie,
zawiodę do domu, uwiążę w zagrodzie,
bo znowu do szkoły biegnąć muszę lotem,
Oj, Boże, co ja to mam w życiu roboty!

*) W związku z artykułem A. Kamieńskiej w Nr. 48 „Wsi", poruszającym problem wierszy dla dzieci, St. Paleczny nadesłał do Redakcji kilka prób tego typu utworów, z których jeden drukujemy.

LISTY ZE ŚLĄSKA

Józef Pogan

Żywot »pożytecznego« dla wsi

Gdy w maju, 1945 r. osiedliłem się na Górnym Śląsku — życie moje nie zaczęło się różowo. Czekały mię dalsze trudy i mozoły. Bo półtora hektarowe gospodarstwo poprzedni właściciel doszczętnie ogołocił. Jedynym dla mnie ratunkiem były skromne honoraria, jakie już zacząłem pobierać za druk mych utworów w czasopismach. Jeździłem więc często do Katowic po czarny, przydziałowy chleb (bo we wsi jeszcze sklepu nie było) i popijałem gorzką kawą.

Znosiłem jednak wszystko cierpliwie, czując się szczęśliwy, iż otrzymałem równy kawałek ziemi i ładny, choć mały domek.

Pracowałem sam w gospodarstwie, gdyż z powodu braku żywności nie mogłem sprowadzać rodziny. Wolne od pracy chwile spędzałem w urzędzie gminnym z zaprzyjaźnionymi urzędnikami lub nauczycielami. Wójt gminy, PPR-owiec, był dobrym Polakiem i życzliwie był dla mnie ustosunkowany.

Za niewielką opłatą dostawałem też obiady w gminnej stołówce wraz z urzędnikami. Przy stole żartowaliśmy zazwyczaj lub mówiliśmy o polityce. Poruszaliśmy też tematy o niegodziwych zdrajcach polskości, czy też o zachłannych szabrownikach. Ślązacy, wspominając o tym, spluwali pogardliwie, „pieronowali“ i z błotem „onaczyli“ szabrowników.

Wiejska inteligencja jak nauczycielstwo czy urzędnicy wcale nie są inni od prostaczków. Zarówno urzędnicy jak też i nauczyciele między sobą przeważnie gwarą rozmawiają. Nawet bywa i tak, że urzędnik napisze coś poprawnie po polsku, lecz czyta to gwarą.

Na temat gwary górnośląskiej rozmawiałem często z nauczycielami. Mnie specjalnie podoba się ta gwara, ma bowiem w sobie wiele archaicznych wyrażeń, lecz jest dlatego — niepełna. Unowocześniło i wyrównało ją wiele wyrażeń niemieckich. Ślązak bez pomocy niemieckich słów nie potrafi się wypowiedzieć. Z tego więc powodu na przykład słowo „onaczyć“ w pojęciu Ślązaka ma wielorakie znaczenie.. „Zonaczyć“ znaczy: i rozwiązać i posunąć i posprzątać i naprawić i zmienić i tak bez końca; także, nie umiejąc nazwać pewnej miejscowości, mówią: „do tego onygo, do ty ony, w tym onym“ itd.

W przeciwieństwie do innych stron, gdzie to nawet półinteligenci wiejscy starają się mówić językiem literackim — tu na Śląsku nawet inteligenci unikają tego. Nawet sam wice-wojewoda Arka Bożek, jako chłop, mówi gwarą. I to taką, jaka tutaj panuje, tj. z domieszką niemczyzny. Jednego razu, potrzebując maszynistki, odezwał się do swego urzędnika: „Dadzą mi frele“. Urzędnik (nie Ślązak) szukał „freli“ na biurku, w szufladkach i kręcił się po całym pokoju.

Także i wtedy, gdy nie używają niemieckich słów — to jednak składnia jest na wzór niemiecki. Na przykład: „ja mam głód, mnie zima“ i t. p.

Próbowałem zacząć tu żywot pożytecznego dla wsi chłopa. Obserwowałem życie ludzi, ich nastrój, zamiary i próby realizowania planów.

I doszedłem do przekonania, że tu wieśniacy mają wszelkie warunki do podniesienia się kulturalnego. Są wszędzie siedmioklasowe szkoły, gimnazja, świetlice, kina ,teatry, są poczty, gminy, elektryczność, szosy, tramwaje... Jedynie brak nieco pieniędzy jak wszędzie w polskiej wsi, ale to chyba nie największa przeszkoda.

I mimo tych sprzyjających warunków — młodzież śląska nie rwie się do źródeł kultury. Ci, co kształcą się w szkole lub w przemyśle, czynią to po to przede wszystkim, aby później dobrze zarabiać. Ślązakom wystarczają zdobycze techniki i to oni dumnie nazywają „swoją kulturą“. Piękne, murowane domy, porządnie umeblowane mieszkania, narzędzia i sprzęty do wszystkiego, dobra odzież, elektryka, szosy, rowery, motocykle — jednym słowem wyższa znacznie od innych dzielnic stopa życiowa — oto całkowita kultura w pojęciu śląskiego chłopa. Poza tym można już nic nie wiedzieć i nie znać. To też niewiele wiedzą i nieraz nawet półanalfabeta z innych stron więcej posiada wyrobienia umysłowego, niż śląski półinteligent. Jedynie sport jest tu silnie rozwinięty. Szkolne podwórza czy też specjalne boiska tętnią bezustannym ruchem grającej młodzieży. Czyli życie skupia się bardziej w akcji rozrywkowej, niż oświatowej.

Młodzież, o ile się skupia, to najchętniej w Związku Walki Młodych i w Katolickich Stowarzyszeniach. I ci najbardziej są aktywni: ZWM stale urządza przedstawienia amatorskie we własnych świetlicach, wydaje gazetki ścienne, bierze udział w różnych uroczystościach; zaś młodzież katolicka uczy się przeważnie śpiewu, odgrywa jakieś klerykalne przedstawienia, odprawia nowenny itd.

Bo młodzież, zarówno jak i starsi — jest bardzo pobożna. Kościoły zawsze są przepełnione wiernymi, a na „farosza“ broń Boże, co powiedzieć. „Farosz“ dla ślązaków jest niemal świętą osobą.

Pobożność ta nie pozwala na ograniczanie urodzin. Tkwi tu pojęcie, iż „kobieta jest tylko po to, aby dzieci rodziła“. Tu najczęściej 20 letnia mężatka ma nawet czworo dzieci. I nie narzeka wcale, nie ma tego sobie za ciężar życia jak kobiety z innych stron.

Po żniwach, gdy żona z córką przyjechały, miałem już więcej czasu, więc często wyjeżdżałem do Katowic, Bytomia, Gliwic i Zabrza. Najczęściej do Katowic do ZZLP, do Samopomocy Chłopskiej, czy do Stronnictwa Ludowego. Wrażenia z „wizyt“ nie zawsze odnosiłem dobre. Znajomi urzędnicy, a nawet koledzy po fachu literackim z pewną wyższością patrzą na chłopskiego pisarza. Urzędnicy poniżali mię za to, że nie miałem posady, zaś wykształceni literaci — że brak mi studiów. Czasem śmiałem się w duchu z tego, a czasem złość mię ogarniała. Bo przecież rozumiałem, że gdybym zechciał, mógłbym zostać nawet „średnim“ urzędnikiem, natomiast wyższy urzędnik rzadko kiedy mógłby napisać choćby kiepski felieton.

Jednego razu w Urzędzie Ziemskim polecono mi iść do Urzędu Skarbowego i zapłacić 40 zł. Referent żałuje bardzo mej straty i pyta, czy mogę sobie pozwolić na ten wydatek?

— Zobaczę, może mam tyle pieniędzy — odpowiedziałem spokojnie, wydobywając z kieszeni parę tysięcy złotych.

Innym znów razem urzednicy dziwili się, widząc mię w nowym ubraniu. Na zapytanie, ile mię kosztuje? — odpowiedziałem, że to ubranie kupiłem za dwie nowelki.

Na punkcie materialnego położenia bardziej jeszcze są dziwni wieśniacy. Na przykład „legenda o reformie rolnej“ drukowana we „Wsi“, z początkiem 1946 r. — stała się we wsi przyczyną zaocznych drwin ze mnie, iż swego czasu byłem „dziadem“, bo stróżem nocnym we dworze. A jeden nauczyciel, Ślązak, powiedział mi, bym „wykorzystywał sytuację póki się da“. Co znaczy, iż każdy, kto wychwala obecny system, może pisać i dobrze zarabiać.

Są jednak ludzie, którzy rozumieją pisarza i szanują go. Większość jednak, a zwłaszcza wieśniacy uważają pisarza za człowieka nie mającego żadnego zajęcia i piszącego głupstwa. Szczególnie tu na Śląsku takie pojęcie wśród chłopów pokutuje. Dowodem tego był fakt, iż na ogłoszony komunikat w „Zagrodzie Chłopskiej“ o zakładaniu „Klubu chłopskich literatów“ na Śląsku — zaledwie dwu kandydatów się zgłosiło i to nie ślązaków. Potwierdza to i konkurs „Wsi“: „Jakiej powieści chce wieś“?. Na 123 wypowiedzi, z Górnego Śląska było tylko 3. Z Dolnego Śląska było 8 wypowiedzi, lecz w większości od osadników.

Uprzytomniłem sobie, że tu wśród Górnoślązaków niewiele, albo zgoła nic nie zrobię dla podniesienia kultury wsi. Zniechęcony, zamknąłem się w pracy węższej: w gospodarstwie — i na odmianę pisałem lub czytałem. A że pracy fizycznej było niewiele, więc większość czasu spędzałem przy stoliku. Monotonna ta praca choć z wielkim wykonywana zapałem — jednak mię często nudziła i denerwowała. Szarpała się ma dusza jak uwięziona w klatce ptaszyna, wszak człek od dzieciństwa przyzwyczajony współżyć z ludźmi. A tu, stajesz się, człeku, jakby półmartwym, bo tylko z samym sobą i dla siebie musisz pracować. Chwilami ulatywałem myślą w rodzinne, podojcowskie strony. — ...Żeby tamci ludzie mieli te warunki co ci, ach! z jakąż szybkością parli by naprzód w świetlaną przyszłość! A i ja jakiego nabrałbym rozpędu!

Myśli nie dawały mi spokoju: czy wyrwać się z ciasnych opłotków wiejskiego życia, uczepić się miasta i pełnymi garściami czerpać ze zdobyczy kulturalnych? — Nie, w mieście nie czułbym się dobrze. Pracować tylko w mieście, lecz żyć na wsi i dla wsi wyłącznie... Rozsądek ciągnie do miasta, a dusza nie chce opuścić wsi... jej pól, pachnących łąk, przyrody... Tak, pracować w mieście, a żyć dla wsi.

Szukam rozwiązania problemu tych dziwnych marzeń. Okazja nadarza się wkrótce: zostaję redaktorem działu literackiego w „Zagrodzie Chłopskiej“. A w ślad za tym: miesięczny bilet kolejowy i mogę często bywać w mieście.

Momentalnie stałem się innym człowiekiem. Maleńkiego redaktora już nikt nie pyta, czy ma 40 zł na jakiś wydatek. Przeciwnie — cieszę się ogólnym szacunkiem. Jest mi miło na sercu i duszy. Mieszkam we wsi, orzę, sieję, koszę, młócę, a na odmianę — urządzam eskapady do Katowic. Tu odwiedzę kolegę, tam dłużej porozmawiam o literaturze, o kulturze, o polityce... I to jest żywot: nie zatracać się jako chłop, a jednocześnie iść z prądem naprzód. Nie gnuśnieć w ciasnych opłotkach wsi, ale ich też nie opuszczać, bo w nich się człek urodził i uchował, więc najlepiej w nich się czuje. **Podmiejska wieś — to najlepszy wylot dla pragnącego kultury chłopa.**

Więc trzymam się tej wsi i przydzielonego mi gospodarstwa jak ojczystego zagona. Gdzie mię los rzucił, tam pragnę trwać. I może w przyszłości naprawdę pokocham tutejszy lud z jego wadami i zaletami. Bo Górnoślązacy — oprócz wad— mają też i zalety: są pracowici, spokojni i nie chytrzy na kawałek ziemi jak gdzieindziej. Nie ma tu kłótni, bijatyk i sądów o miedzę z sąsiadami. Wesela i zabawy odbywają się bardzo spokojnie. Tutaj pijak „nie ryje nosem po ziemi“, nikomu nie ubliży i nie zaczepi. Nawet wśród ciemnej nocy każdy człek może spokojnie przejść obok pijaków.

Mam tutaj wiele przeszkód i różnych trudności, wszak jestem wśród obcych jako intruz, bo „na cudzym majątku“. Jestem „gorolym i tukej na Śląsku się dorabiam“. Krewni wysiedlonego gospodarza odgrażają mi, nawet „czerwoną krawatką na szyi“.

Lecz mimo to — wcale nie chciałbym wracać w rodzinne strony. Przeciwnie: — pragnę jechać dalej na zachód gdzie więcej osadników, bym wraz z nimi mógł pracować dla kulturalnego podniesienia się wsi.

Józef Pogan

Adolf Kotarba

Przez czarne okulary

W ostatnim liście z Katowic wspomniałem o ustosunkowaniu się Ślązaków do nowych współobywateli z innych dzielnic, jacy napłynęli tu po odzyskaniu wolności. Stosunki te nie są takie jakie być powinny. Są pewne zgrzyty i niedomówienia.

Wstyd się przyznać do tego, że do zadrażnienia tych stosunków przyczynili się pionierzy, naturalnie nie ci ideowi, lecz koniunkturalni, pierwsi osadnicy, którzy przybrali tutaj rolę „narodu panów“, czy też osadników angielskich w dzikich preriach Ameryki Północnej z 17 czy 18 wieku. Byle chłystek plunie Ślązakowi słowem: „Niemiec“, z racji, że ten mówi gwarą, w której — coprawda zupełnie niepotrzebnie — wsadza się wiele słów niemieckich .

Po zniesieniu kategorii „narodowości niemieckiej“ i zrównaniu Ślązaków w prawach z prawdziwymi Polakami (jakby Ślązacy nimi nie byli) powoli zmieni się to na lepsze, ale co Ślązacy stracili, to stracili.

Na Śląsku panuje nędza, wśród matek obarczonych drobnymi dziećmi, których żywiciel wzięty do armii niemieckiej, albo jest jeszcze w korpusie Andersa, albo gdzieś w niewoli przepadł bez wieści.

Poznałem starego emerytowanego maszynistę kolejowego, który 42 lata spędził na maszynie, i dziś ma na opiece staruszkę żonę, wierną towarzyszkę życia. Dwóch synów przepadło im gdzieś w Afryce, a może nawet znajdują się na obczyźnie, dwóch starszych zamordowali Niemcy w obozie jako b. powstańców śląskich.

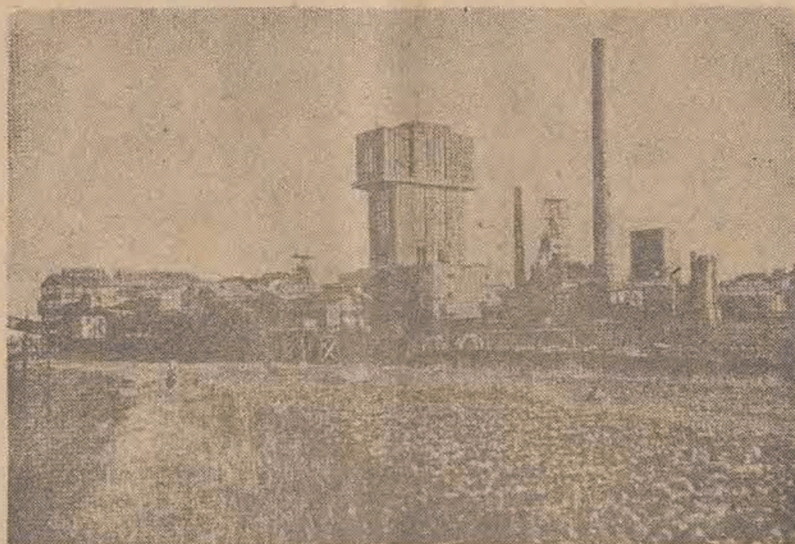
Ogromny procent dzieci i młodzieży śląskiej zajmuje się handlem, zwłaszcza sprzedażą gazet papierosów, (tylko monopolowych). Jest to jedyny sposób utrzymania opuszczonej matki i młodszego rodzeństwa. Musi, bo sytuacja rodzinna tego wymaga. Ale ta młodzież jest prawie stracona dla społeczeństwa. Dzisiaj winna się ona jeszcze uczyć czy to w szkole, czy w zawodzie, a nie błąkać się po ulicach, czy placach targowych.

Wiele złego zasiano w duszach tej młodzieży w organizacji niem. „Hitlerjugend“, do której ją w czasie wojny wciągano przymusowo, podobnie jak ojców do wrażej służby w armii niemieckiej, na co żalą się ich matki. W żadnym mieście w Polsce nie spotkałem tak miłosiernych kobiet jak Ślązaczki. Każda z nich wychodząc do miasta po zakupy, wszystkie swoje drobne pieniądze poświęca na wsparcie ubogich, którzy na tej dobroczynności wcale dobrze wychodzą.

Inna jeszcze rzecz razi moje oczy. Otóż większość domów w Katowicach ma kolor ciemnej papy. Mam wrażenie, że przeholowano w tym charakteryzowaniu miasta na miasto kominów. Nie jest prawdą, że w Katowicach sadza opada na ludzi i domy, że wszystko brudzi i dlatego maluje się domy na czarny lub ciemno - szary kolor. Znajdują się w Katowicach domy malowane na jasne kolory, biały czy piaskowy i sadzy na nich nie widać, mimo, że liczą już po 20 i więcej lat i nie były od wybudowania ich fasady odnawiane.

Gdyby kamienice katowickie były malowane na kolor biały lub piaskowy, dodałoby to wiele uroku miastu, tym więcej, że południowa połowa miasta leży na wzgórzu i ma piękne położenie. Nie mniej kominów fabrycznych jest w Łodzi, a domy w tym mieście nie noszą żałoby.

A. Kotarba





Kopalnie węgla na Śląsku

Leonard Sobierajski

ZIELONA OJCZYZNA

(Z okazji Święta Ludowego na ziemi śląskiej)

Na zachód od Wrocławia o dziesięć kilometrów leży gminna wieś Smolec; rozprzestrzeniona swobodnie, przepleciona ogrodami, powiązana brukowanymi uliczkami; ma obszerne, murowane domy, gotowe na przyjęcie plonów chłopskich budynki gospodarcze. Ba! Jest tu gmach szkolny, jakiego i stratowana stolica mogłaby pozazdrościć, jest dom ludowy z salką teatralną, są sklepy. Czyż nie świetny warsztat pracy dla rolnika? To też wypełnił się Smolec treścią ludzką aż po brzegi. Skrzyknęli się do niego chłopi, można by rzec z całej Polski. Ruszyło tu biedniactwo z „karłowacizny" województwa krakowskiego, jest i trochę „zabużanów", jest i reprezentant poznańskiego. Obsadzili oni wszyscy około stu gospodarstw, wparli się w „mocną": pszenno-buraczaną ziemię. — Ho, ho! siedem czy dziesięć hektarów tego skarbu, to nie bagatela — jest do czego rękawy zakasać. — „Doczekalim się wreszcie Ojczyzny" — rzuca podkrakowski „biedniak".

Smolec nie robi wrażenia jednolitej, uładzonej gromady, wprost przeciwnie, dyszy różnorodnością, gospodarze wnoszą tu odmienny sposób upraw, różnią się obyczajem i nawykami, które zabrali ze swych regionów. Nie trudno tu spotkać rolnika — wytrawnego fachowca, który kalkuluje produkcję z ołówkiem w ręku, jest zapaleńcem specjalizacji, potrafi nam w parę minut przedstawić cyfrowo wyniki gospodarki, wskazać gdzie jej opłacalność w lokalnych wraunkach. „Buraki ot- co powinniśmy tu uprawiać!" Oczy mu się przy tym zapalają. „Ziemia pierwszorzędna, w powiecie czynne już dwie cukrownie: w Sułkowicach i Pustkowie, przygotowuje się do uruchomienia w Klecinie jeszcze jedną". Nasz rozmówca to chłop inteligent, dawny wiciarz i ludowiec, ma w sobie pewne opory wobec dzisiejszej rzeczywistości, ale je przełamuje — jest członkiem ZSCH, pragnie brać udział w odbudowie śląskiej wsi. Jego ręce są zgrubiałe, wypracował nimi w roku ubiegłym między innymi z 95 arów 220 q. buraków cukrowych. Takich wzorowych rolników jest tu więcej. Obok nich jednak widzimy i „poczciwych oraczy", którzy wprawdzie zaryzykowali puścić się na „nieznane", przejmując tę tradycję po dziadach „amerykanach", ale nie przełamali się jeszcze na tyle, by zaprzestać dawnego „peplania" w ziemi, a jednak i im się zaczyna widzieć, że coś tu trzeba nie tak jak „drzewiej bywało". Dzięki temu wymięszaniu ludzkiemu wszyscy się sobie pilnie przyglądają, podpatrują wzajemnie, uczą jeden od drugiego. W tradycyjnym „oraczu" zaczyna się budzić świadomość, nie chce być zdystansowany, nie pójdzie na „obśmich" tych wzorowych.

Wieś smolecka podszyta jest konfliktami, darwinowska teoria walki o byt miałaby i tu swoją ilustrację. Wewnętrzne spory o najmniejsze „kęsy", o wpływy, o uznanie społeczne czy wreszcie o „nadawanie tonu" wyciskały pierwsze piętno na społecznym obliczu tej wsi. Wówczas namnożyło się mnóstwo urazów, które bruździą do dnia dzisiejszego. Trudno na ogół tego uniknąć w sytuacji, gdzie wszystko na świeżo było do zdobycia; jest to zresztą proces normalny, zachodzi wszędzie tam, gdzie życie nowej grupy ludzkiej jeszcze nie okrzepło, gdzie przeszłość nie przekazuje autorytetów, gdzie buduje się wszystko od początku. Dziś wieś na Ziemiach Odzyskanych jest jakby tyglem, w którym wytapia się nowy wzór chłopa. Rysy prywatności, z którymi przychodziły jednostki do tej wsi z różnych stron kraju, zacierają się, stwarza się poczucie nowej wspólnoty. Ta nowa wieś jest świetnym terenem dla działalności organizacyjnej; chłopi z gminy smoleckiej czy innych powiatu wrocławskiego zdają sobie dobrze sprawę z konieczności wspólnego podejmowania zadań właśnie poprzez działalność organizacyjną.

* * *

Zielone sztandary, przemówienia, wiersze, inscenizacje — tak, to wszystko to znaki świąteczne, wytchnienie; poza tym kryje się jednak codzienność chłopska smoleckiej wsi i dziesiątek jej podobnych. Chłopi w dniu święta ludowego prowadzą powszechną z narodem rozmowę, sumują osiągnięcia, zwierzają swoje troski, czasem padnie z czyichś ust twardsze słowo pod adresem jednostek, które niedostatecznie wspomagają osadnika w jego pracy, na to inny spieszy z wyjaśnieniem, bo czasem to, co się wydaje złą wolą, jest właściwie wynikiem niedomagań natury ogólnej, trudno je usunąć, trzeba jednak o nich mówić. A więc słuchajmy:

— Nie łatwo nam było na początku — mówi gospodarz z gminy Kąty. — wyobraźcie sobie, że w całej gminie, jakżeśmy tu ściągnęli, mieliśmy wszystkiego 5 krów i 7 koni. No a obecnie — i tu gospodarski uśmiech przebiegł mu po twarzy — możemy naliczyć 438 koni i 511 krów.

Na to jeden z chłopów, przedstawiciel powiatowej Rady Narodowej:

— Nasz powiat wrocławski ma obecnie około 4,300 koni i około 7,000 krów, jak na 7,800 ha użytków rolnych to jeszcze jest mało oczywiście, liczbę koni należałoby przynajmniej podwoić, ale gdy się zważy, że to jest dopiero trzeci rok naszej gospodarki, że nie zastaliśmy z żywego inwentarza prawie nic, no to chyba posunęliśmy się naprzód. Koni byłoby jeszcze więcej, lecz zawiodły nas niektóre zagraniczne zakontraktowania.

Gospodarzy z gminy smoleckiej to właśnie najbardziej gryzło.

— No bo jakżeż to — mówi jeden — jeszcze w ubiegłym roku powpłacaliśmy po 20.000 zł zaliczki, cieszyliśmy się na myśl o tym, jak to nowym sprzężajem zaorzemy resztki odłogów, zima nam się wydawała niecierpliwa, bo wiosną pług miał pociągnąć już własny koń — no i nic — zawód: zamiast koni zwrot zaliczki. No ale co na to poradzić, zagranica zawiodła, nie była w stanie pokryć naszego zapotrzebowania. Jednak mimo niedostatecznej ilości koni obsialiśmy prawie w stu procentach.

— Tak, tak — akcentował radny — 4 proc. tylko odłogów w całym powiecie, do jesieni znikną, państwo w jesiennej akcji siewnej z całym swoim aparatem idzie nam w pomoc; na Ziemie Odzyskane zostanie rzucona znaczna ilość traktorów i koni. „Samopomocowcy", wysyłajcie z każdej gminy po dwóch ludzi na kurs lipcowy do Poznania na wyszkolenie traktorowe, bo każde koło gminne ZSCH otrzyma traktor, nasz człowiek musi umieć się z nim obchodzić. Tak! ta akcja pozwoli nam wygrać walkę z odłogami.

Jedna jeszcze sprawa dręczy wszystkich: pomiary i nadania. Chłopi smoleccy niecierpliwie czekają na mierników. Jeden mówi: — Nie można racjonalnie gospodarować bez zaplanowania na trzy lata, a to znów łączy się z poczuciem odpowiedzialności, że ten właśnie szmat ziemi będzie do mnie należał, że właśnie ja jestem odpowiedzialny za jego stan.

To podchwytuje drugi — dla rolnika kapitałem inwestycyjnym jest obornik, jak nim rozporządzić, gdzie go dać, lecz kapitał amortyzuje się i po dwóch latach, no a ja ciągle nie mam gwarancji, że za dwa lata będę gospodarzył na tym, co teraz orzę, bo widzicie jest tak: my jesteśmy z wioski, gdzie była większość gospodarek od 3 do 4 ha (wioska podwrocławska) prócz nich było kilka dużych gospodarstw kilkudziesięcio-hektarowych; wszyscy osadnicy weszli na ziemie tych dużych gospodarstw dobierając sobie po parę ha dla zaokrąglenia tych małych z budynkami (trzy lub cztero-hektarowych). Obecnie czekamy na jakieś ostateczne przeprowadzenie tych pomiarów, chcemy racjonalnie gospodarzyć, chcemy nie szczędzić pracy, by jaknajwięcej chleba krajowi przysporzyć.

Radny zaciskał mocno szczęki i łamał podniesiony z trawy patyk w niecierpliwych rękach. Wreszcie wybuchł:

— Widzisz, bracie, to jest racja, nikt temu nie przeczy: pomiary i akty nadania to najpilniejsza sprawa, jeżeli jej nie wykonujemy tak szybko, jak to jest potrzebne, to dlatego, że nie ma kim. Na powiat wrocławski mamy tylko 13 mierników. Cóż mogą wykonać w ciągu roku: 13,000 hektarów, to diablo mało jak na nasz powiat (78,000 ha). Mało mamy fachowców, ej! bracia, nie głupi chyba jest ten okrzyk „o niech chłop nie będzie tylko rolnikiem!" Teraz potrzeba nam traktorzystów, potrzeba mierników i to takich, którzy z całym zapałem podjęliby pracę, którzy nie czuliby się tylko płatnymi urzędnikami, ale działaczami, oddającymi swoje umiejętności, czas i energię dla pomożenia rolnikowi. Czyż warstwa chłopska nie może wydać z siebie tych ludzi? Chłop traktorzysta, mechanik (obeznany z maszynami rolniczymi), inżynier, miernik, to ci, których potrzeba nam, ze względu na poruszoną sprawę, a przecież te potrzeby można by mnożyć. W naszym powiecie jest 9 kół gminnych Z.S.Ch., 67 kół gromadzkich, mamy w swoich rękach młyny (w Kątach, Żurawinie, Katarzynie), gorzelnię, mamy 4 piekarnie, sklepy spółdzielcze, 7 resztówek, na których rozwinie się doświadczalnictwo upraw i hodowli; prawidłowy rozwój tych resztówek łączy się z podniesieniem gospodarek chłopskich, bo przecież z nich to słaby jeszcze kapitałowo osadnik będzie mógł czerpać zboże wyselekcjonowane, bydło podrasowane czy drób ze sztucznej wylęgarni. Do czego zmierzam? Mamy ładne warsztaty pracy: wysoko uprawną ziemię, budynki, poradzimy sobie ze sprzężajem, rozwiążemy z pomocą Państwa kwestię zdobycia kredytów na potrzebne inwestycje, brak nam tylko wśród siebie fachowców, właśnie do tych młynów, właśnie do tych resztówek, do zrzeszeń branżowych, do spółdzielni. Potrzeba nam tysiące wyszkolonych techników do przemysłu rolnego, tysiące inżynierów-agronomów na instruktorów rolnych, wielu bilansistów do spółdzielni. Ludzi tych musimy z siebie wydać. Polska pokrywa się siecią szkół fachowych, jest obecnie około tysiąca szkół rolniczych na różnych stopniach — pchnijmy tam nasze dzieci! Spotężnieje wtedy nasza zielona ojczyzna, chłop stanie się na prawdę uzbrojony w walce o dobrobyt dla kraju, wyrówna wtedy robotnikowi służącemu państwu żelaznym ramieniem przemysłu. Nie będzie to walka rywalizująca o władzę, ale o oddanie większego wkładu w tworzeniu ogólnego dobrobytu!

(Danych liczbowych udzielił ob. K. Krysiński i Zarząd Wojewódzki Z. S. Ch. we Wrocławiu).

IDĄ CHŁOPY DO ŚWIATA...

I

Do Biłgoraja droga wyboista, że łeb się trzęsie w podróży jak księdzu ręka do pieniędzy. Porażone nielitościwie słońcem bielą się pola piaskowe poprzegradzane gęsto zagajnikami, które na horyzoncie zlewają się w potężne obszary leśne. O ich zdradzieckim a przytulnym jednocześnie wnętrzu mogą powiedzieć wiele wspomnienia józefowskich partyzantów. Jeszcze nie tak dawno słynny był i „znany ze swoich sit Biłgoraj wśród ubogiej ziemi, która dostarczała do robót budowlanych mnóstwo ludzi, zwłaszcza kobiet snujących się po Warszawie w swych białych, płóciennych ubraniach i czółkach na głowie". To było najbardziej godne uwagi dla wybitnego ludoznawcy ze starej szkoły etnograficznej. To było stwierdzenie faktu zewnętrznego, estetycznego, bez próby wniknięcia w tragedię, jaka poza nim się kryła. Dla nas — działaczy wiejskich z wiejskiej wyrosłych gleby są inne, bardziej istotne czynniki, które zasługują na podkreślenie, gdy mowa o biłgorajskich wydmuchach. Dążenie do zakładania spółdzielni sitarskich, największa ilość ludzi na ważne stanowiska administracyjne i samorządowe w województwie, przodujące miejsce w zdawaniu świadczeń rzeczowych na rzecz państwa i doskonale rozwijający się ruch ludowy, który ujawnił się w tegorocznym święcie chłopskim — oto elementy, które określają dzisiejszą biłgorajszczyznę.

II

Oto pierwsze oznaki Chłopskiego Święta. Strojnych zielenią ciągnie kilkanaście furmanek. Pomiędzy kłonicami na zadnich kołach umocowane tablice z hasłami. Na czele — o ziemiach odzyskanych, następnie o jedności i zgodzie. Drobne koniki idą wolno. Gospodarze spieczeni żarem — robią wrażenie drzemiących. Nic dziwnego. Dziś założyli wełniane sukmany, które od lat spoczywają w lamusie. A przecież duszno w tym jak w kurniku. Byle prędzej skończyć i zrzucić to z karku. Mordować się musieli ojcowie, gdy zapatrzeni w tradycję w tej odzieży bawiącej rozpieszczone panie z kamienic i przyjaciół ludu spod znaku „Wisły" roznosili piechotą i zbywali po całym kraju na wpół darmo swoje sita. Od strony Puszczy Solskiej cwałuje kilku jeźdźców. To pierwsze skowronki banderii, która skupia się koło baraku. Ubrani są po krakowsku. Podziwiają ich nawet przedwojenny burmistrz, sam właściciel apteki i bratanek księdza, płacząc pospołu nad zanikiem dawnej paniedziejski zdrowej, chłopskiej rasowości. Zdania natomiast ich nie podziela obecny starosta, przewodniczący rady powiatowej i inspektor szkolny, wyrośli gdzieś w zapomnianych kółkach biłgorajskich.

III

Przy kościele ciżba. Na zboczach zajazdu ustawiono w kozły ponad 150 rowerów. W szprychach zielone kokardy, przy sterach chorągiewki. To namiastka motoryzacji. Psuje się wieś. Ucieka od przyrody. Świątynie rozbrzmiewają głosem organów. Głos organisty odcina się od nich jak klekot bociana od rechotu żab na łące. Wikary w zakrystii szuka natchnienia do kazania, które ma za chwilę wygłosić. Nie łatwa to sprawa. Zadowoli lud, to mu powiedzą „panie Boże zapłać", ale jak wyjdzie wobec dziekana i biskupa, który tu pono buszuje po sąsiedniej parafii? Jeśli uzyska aprobatę zwierzchności, chłopy mogą go kląć. Ale przecież sięgnąć można po tradycję, dogmaty, tłumaczyć je tak by wilk był syty i owca cała. A więc: Polak i katolik — to synonimy nie dające się rozdzielić. Władza duchowna i świecka od Boga pochodzi. Szanuj więc władzę. I niby wszystko dobrze. Tylko w drodze powrotnej grupka chłopów z Batorza wracała markotna. Juści. Ile to naubliżali gubernatorowi Frankowi, nie mówiąc już Hitlerowi. A tu teraz... Władza od Boga.

IV

Idzie przez miasto dwukilometrowy pochód. Przegradzają go aż trzy orkiestry wcale niezłej prezencji. „Idą chłopy do miasta" śpiewa hufiec wiciarzy. Przodem paraduje bandera. Bień ją prowadzi, wójt gminy, stary zasłużony ludowiec. Na końcu — długi sznur cyklistów. Sprawnie jadą, tylko wiatr im włosy rozwichrza. Wszystko kieruje się do baraku. Ogromny jest. Pomieści kilka tysięcy osób. Z dawnego elewatora zbożowego za Niemca — wyborny dom imprezowy. Jedyny w zniszczonym Biłgoraju. Przemówienie. Już mogliby ci działacze wziąć choć z nudów do ręki trochę pięknej literatury i dzieł poważniejszych, a nie poprzestawać tylko na biuletynach szablonowych b. Ministerstwa Informacji i Propagandy. Pocóż zawsze oklepanymi banałami — którymi każdy na pamięć potrafi ludzi mordować? Trzeba choć trochę litości mieć, jeśli nie staje intelektu. W porę przyszły na zakończenie dobrze przygotowane „Grube ryby" Bałuckiego. Udane gesty czy wypowiedzi artystów wywołują większy oddźwięk na sali niż najgłośniej krzyczane hasła. Dewotek pono sam Pan Bóg nie znosi, choć mu ani szkodzą, ani dogadzają.

Henryk Syska

W GÓRACH I NA ROLI

Dziwny kształt ma powiat pińczowski. Ciągnie się, jak kiszka od Wisły i spod proszowskich lessów po Pińczów. Stolica powiatu prawem tradycji historycznej utrzymuje się na końcu tej kiszki. Miasteczku grozi zamarcie. Leży poza szlakami komunikacyjnymi, w okolicy, w której przemysłu nie było i nie będzie. Duża linia kolejowa Kielce — Kraków przebiega na prawo od Pińczowa, na lewo wykluje się nie długo linia Kielce — Busko — Kazimierza Wielka — Kocmyrzów — Kraków. Właśnie Kazimierza wyrosła w ostatnich dziesiątkach lat z zamożnej wsi na tętniące życiem handlowym i społecznym miasteczko. W wigilię Święta Ludowego kolejka wąskotorowa, która wije się jak przewód pokarmowy wzdłuż całego powiatu, przewiozła pisma prawicy ludowej z programem: świętujemy w chałupach, czytając książki do nabożeństwa. Ta sama kolejka mimo umowy nazajutrz rano przegalopowała swoją trasę nie zatrzymując się na umówionych stacyjkach, na większych zaś nie przyjmowała nikogo, kto miał wpiętą koniczynę, kto niósł sztandar, kto wołał: my na Święto Ludowe do Pińczowa! W miasteczku nie wywieszono chorągwi biało-czerwonych. Guloni używają je tylko na 3-go Maja, na Święto Czerwonego Krzyża, na Ligę Morską i Kolonialną, i na Święta Kościelne. Zapomnieli, że są w połowie rolnikami. Że miasteczko żyje z krainy i w krainie czysto rolniczej. Że w tej małej prowincjonalnej skali Święto Ludowe musi tu być traktowane, jak **święto narodowe.** Bo tu lud to — **chłopi.**

A w górach Świętokrzyskich, w klasztorze św. Katarzyny, gdzie reguła panuje surowa i zakonnice nie pokazują się ludziom, mieliśmy znamienną rozmowę w klauzurze. Przeorysza pytała o elektryczne maszyny tkackie, o maszyny trykotażowe i swetrowe. Hej, chciałyby dla dziewcząt wiejskich urządzać szkołę, aby się potem rozeszły jako instruktorki po wioskach podgórskich. Puszcza i góry przetrzymały tu opóźnienie cywilizacyjne i kulturalne. Idziesz przez wieś ulicą 5 km. długą, widzisz dziewczęta i baby w zapaskach kolorowych, tyle barwnych strojów i tyle rąk do pracy, tyle zmarnowanego kapitału (w zboczach gór i wełnie). Oddalone od hałasów świata zakonnice wychwytują jednak z niego istotną współczesną wartość. Ich prośba o elektryczne maszyny tkackie w dniu Święta Ludowego jest wyższym uświęceniem dnia uroczystego, niż gdyby w pińczowskim (rolniczym powiecie) wywiesili chorągwie, niż gdyby kolejka zapraszała ludowców, a z Kazimierzy nie poszło hasło: w chałupie świętować!

Piotr Chmura.

Jubileusz prof. Heleny Radlińskiej

Helena Orsza-Radlińska, prof. katedry pedagogiki społecznej na Uniwersytecie Łódzkim, obchodzi jubileusz 50-lecia pracy społecznej i naukowej.

Prof. Helena Radlińska urodziła się 2. 5. 1879 roku w Warszawie. Po ukończeniu szkoły średniej uczęszczała na tajne kursy pedagogiczne oddając się równocześnie pracom badawczym nad historią w Bibliotece Zamoyskich pod kierunkiem prof. T. Korzona.

W tym okresie podjęła próbę prac popularyzatorskich z zakresu historii i krytyki literackiej. Wydała w 1897 roku pierwszą książeczkę zatytułowaną: „Kto to był Mickiewicz". Skromną bardzo młodzieńczą broszurką zapoczątkowała H. Radlińska szeroką drogę swojej oświatowej i naukowej pracy.

Rok 1905 zastaje H. Radlińską jako nauczycielkę szkół średnich w grupie organizatorów strajku szkolnego, w którym bierze czynny udział. Za działalność polityczną w tym czasie w szeregach PPS zostaje wywieziona etapami na Sybir, skąd szczęśliwie ucieka, przedostaje się do ówczesnej Galicji i osiedla się w Krakowie. Tam też ukończyła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Będąc pracownikiem i „duszą" Uniwersytetu Ludowego im. A. Mickiewicza, uczestniczyła w pracy społecznej i oświatowej. Tam rozpoczęła po raz pierwszy w Polsce kształcenie pracowników oświatowych na wyższym poziomie. Zapoczątkowała Polskie Archiwum Oświatowe.

Od roku 1913 brała udział w przygotowaniach szeregów młodzieży wolnościowej do walki zbrojnej, poświęcając się głównie oświacie żołnierskiej. Z czynnego, doraźnego działania przechodziła do programowych prac nad sprawami szkoły i organizacji oświaty pozaszkolnej. Dopomagała K. J. Prausowi w pracach Centralnego Biura Szkolnego. W latach 1917 — 18 redagowała pismo „Kultura Polski". Współdziałała w tworzeniu Ligi Niezawisłości Polski i Polskiego Stronnictwa Ludowego (Wyzwolenie).

Po wojnie światowej obok pracy nauczycielskiej rozwijała działalność na stanowisku kierownika działu oświaty w Centralnym Związku Kółek Rolniczych, z którego ramienia prowadziła bezpośrednio prace oświatowe na wsi. Organizowała odczyty i wykładała metodykę nauczania na licznych kursach dla nauczycieli, instruktorów oświatowych, wiejskich i robotniczych.

W r. 1922 objęła wykłady na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. W trzy lata potem organizowała przy tej uczelni Studium Pracy Społeczno - Oświatowej. Była to wówczas pierwsza w Polsce wyższa uczelnia, przygotuwująca pracowników społecznych i oświatowych. To Studium wypracowało drogą ciągłych badań w dziedzinie zjawisk społecznych i potrzebnych środków zaradczych metody kształcenia pracowników społecznych oraz kształtowało nowy typ zawodowego pracownika społecznego.

Habilitację odbyła przed komisją weryfikacyjną w 1937 r. Prace teoretyczno - naukowe, prowadzone na W. W. P. spowodowały powierzenie Jej w 1928 r. pierwszej w Polsce katedry historii oświaty pozaszkolnej. — Zostaje profesorem W. W. P. i jest jednocześnie współpracownikiem Kom. Historii Oświaty Polskiej Akademii Umiejętności, członkiem Naukowego T-wa Pedagogicznego, członkiem Instytutu Badań Najnowszej Historii Polski.

Nieustanną i żmudną pracę pedagogiczną i instruktorską łączyła prof. H. Radlińska ze stałą działalnością naukową i pisarską. Szła ona w kilku kierunkach. Od tworzenia właściwej literatury popularnej dla szerokich mas czytelników do prac poważnych — naukowych z zakresu historii, oświaty i kultury, pedagogiki, a zwłaszcza czytelnictwa. Zapoczątkowała w pedagogice polskiej kierunek pedagogiki społecznej, wysuwając teorie wychowania przez poznanie środowiska społecznego.

Bibliografia prac prof. H. Radlińskiej obejmuje różne działy i zawiera sto kilkadziesiąt pozycji.

Z ważniejszych publikacji prof. H. Radlińskiej należy wymienić: „Kołłątaj jako wychowawca", „Staszic jako działacz", „Początki pracy oświatowej w Polsce", „Dzieje oświaty pozaszkolnej", „Dzieje społeczne Polski", „Stosunek wychowawczy do środowiska społecznego", „Książka wśród ludzi", „Oświata dorosłych". W przygotowaniu do druku znajduje się praca „Tradycje i zamierzenia" oraz podręcznik dla studentów „Pedagogika społeczna". Szerokość zainteresowań doprowadziła Ją do stałych kontaktów z myślą społeczną i pedagogiczną zagranicy, zwiększając tym udział Polski w międzynarodowym życiu intelektualnym i społecznym.

Heronim Konikowski

Czy „nowa postawa" jest całkowicie słuszna?*)

W nr. 19 „Wsi" ukazał się artykuł Zygmunta Stolarskiego „O nową postawę", napisany w związku ze zjazdem ideologicznym Stow. Akademików Woj. Kieleckiego. Po wspomnieniach historycznych o obliczu młodzieży kieleckiej za czasów, gdy Kielce były miastem akademickim, po cytowaniu notatek Grabca z epoki fin de siecl'u, autor zastanawia się nad przemianami oblicza duchowego młodzieży wywołanymi lekturą Żeromskiego.

W artykule tym tak charakteryzuje się Judyma: „młody lekarz, społecznik, tworzy wzorowe uzdrowisko „Cisy", by wreszcie nie dokończywszy zaczętego dzieła rzucić je. Skazuje się na dobrowolną bezdomność ducha i ciała".

My — starsze pokolenie ziemi kieleckiej, nigdy nie uwierzymy, że Judym przegrał swą walkę. My stworzyliśmy sobie legendę o Judymie. My go znamy osobiście. Oto w czasie poprzedniej wojny światowej ten właśnie nasz Judym przybył z Zagłębia Dąbrowskiego do Buska i stąd wielkim głosem począł wołać o niedoli gruźliczego dziecka miast przemysłowych, pobudził ofiarność społeczną, wystawił wspaniałe sanatorium dla dzieci i żyje nadal pośród nas otoczony powszechnym szacunkiem i miłością. Wiadomo — to nie ten sam Judym z „Ludzi Bezdomnych", ale wcielenie tejże idei, zaprawionej pewną dozą praktyczności. Byłoby bardzo dobrze, aby akademicy ziemi kieleckiej zobaczyli na własne oczy, jak postać Judyma potrafi zapłodnić wyobraźnię i serce młodego lekarza polskiego. Warto wybrać się do Górki pod Buskiem, aby uścisnąć dłoń jej twórcy.

Przełęckiego określa znów autor, jako tego, który przegrał walkę o szkołę polską.

Nie — po stokroć nie! Niech akademicy z Ziemi Sandomierskiej zapytają swych ojców, kim był w latach 1919—1924 Aleksander Patkowski, ówczesny nauczyciel gimnazjum sandomierskiego, jak budował początkowo własnymi siłami, a później wraz z zespołem przyjaciół, do których zaliczał i Żeromskiego, uniwersytety regionalne i do jakich wyników ta praca doprowadziła. Właśnie Aleksander Patkowski był prototypem Przełęckiego.

Drugi Przełęcki — to Juliusz Osterwa, który testament Żeromskiego głosił przez wiele lat po całej Polsce.

W „Nawracaniu Judasza" jest jeszcze jeden bohater, który nie został pokonany w walce ze złem — to Brat Albert (pamiętacie ten ubogi klasztorek w Tatrach?). Dzisiaj jeszcze spotykamy jego uczniów w Zakopanem i w Warszawie. Prowadzą skutecznie piękne dzieło mistrza.

Możnaby w ten sposób jeszcze wiele postaci z utworów Żeromskiego ukazać na tle ich walki ze złem, walki często zwycięskiej, chociaż napis nad portalem domu Bodzanty dla nieszczęsnych kobiet, które pragnął przywrócić życiu, głosił: „Człowiek urasta jak kwiat, skruszon bywa, przemija jako cień".

Skruszon bywa... lecz nie zawsze, często zwycięża. W każdym razie, gdyby nawet sądził, że kiedyś padnie w walce, niechże do śmierci walczy z tym złem, które w każdej epoce, w każdym ustroju jest kłodą leżącą na drodze pochodu ludzkości. Jeśli się to nie uda mnie, ani tobie, może udać się innym. Można zmieniać metodę walki na coraz lepszą, coraz skuteczniejszą, ale zawsze trzeba walczyć ze złem, które jest, jak twierdził Żeromski — krzywdą ludzką.

Wierzę głęboko, młodzi rodacy z tej naszej najbliżej sercu cząstki Ojczyzny, że nie przekreślicie tego hasła, które pisaliśmy na swych sztandarach my, dziś przemijający jako cień.

I o przemyślenie jeszcze jednej sprawy chciałbym prosić członków Stowarzyszenia Akademików Woj. Kieleckiego. Jesteście dziećmi ziemi Kieleckiej. Ziemia ta wykarmiła Waszą młodość, dała wiedzę ogólną, pobudziła fantazję, związała ze sobą uczuciowo i wyprawiła w świat, abyście zdobywszy wiedzę i doświadczenie mogli zapracować na chleb, przysparzać chleba innym, wypracowywać dla siebie i innych lepsze jutro. Ziemia kielecka jest uboga, nie starczy w niej chleba dla wszystkich jej dzieci. To też te dzieci szukają i znajdują chleb gdzieindziej. Synów ziemi kieleckiej można znaleźć na całym świecie, niektórzy prawdziwą chlubę jej przynoszą, ale rzadko kiedy — korzyść. Jeśli wracają — to na krótko — z wizytą do rodziny, albo w nieszczęściu po ratunek. I wy musicie zaprowadzić nowy obyczaj, że każdy wykształcony człowiek z Waszego grona musi się zobowiązać, że choć z daleka — będzie śledził potrzeby swojej wsi, gminy, czy okolicy, że o ile zobaczy u innych coś mądrego i pożytecznego, co przydałoby się w ojczyźnie jego młodości — doniesie o tym, komu należy i nie odmówi swej pomocy przy takich tamtejszych pracach, gdzie by się jego wiedza i doświadczenie przydały.

Może Wam się uda sprawić w dalszych pracach Waszego życia, aby pocałunek składany na ręce matki przy wyjeździe do szkół różnych Andrzejów Radków nie musiał być koniecznie ostatnim pożegnaniem ze wsią rodzinną.

K. Borzęcki.

*) Zamieszczamy wypowiedź K. Borzęckiego w związku z drukowanym przez nas artykułem Z. Stolarskiego. W wypowiedzi tej potwierdza autor twierdzenie Z. Stolarskiego, że tradycje „żeromszczyzny" tkwią silnie w naszym społeczeństwie, że wzór jednostkowego działacza jest wciąż jeszcze żywy i nęcący.

Mamy nadzieję, że na ten obszerny temat postawy młodzieży akademickiej, zapoczątkowany w 19 w n-rze „Wsi", otrzymamy dalsze wypowiedzi. **Redakcja.**

Paweł Kubisz

ZNAM TYLKO JEDEN ŚLĄSK

(Fragmenty utworu dramatycznego p.t. „Legenda Wydziedziczonych"

„Znam tylko jeden Śląsk — dla mnie nie ma granicy:
Frydek, Trzyniec, Cieszyn, Opole, Katowice,
I Racibórz zniemczony — w szachtach skryta Karwina;
Klęka ból w drodze, wieniec krwawy rozpinać!

Pod Opawóm jeszcze ślady...
Na Hłuczyńsku kolejiny —
Ryjóm nóm tam grób zagłady,
Gasnóm mowy piyrwociny...

Znam tylko jeden Śląsk — dla mnie nie ma granicy:
Frydek, Bogumin, Wrocław i pole Lignicy...
Sterczą krzyży otwarte do świata ramiona,
Słońce zarosłe chmurą, życie chciało skonać!

W Trzyńcu werki narzykały —
Przyszli do nas cudzi... cudzi!
Cudze gęby chleb zebrały —
Wyciskajóm naszych ludzi!

Znam tylko jeden Śląsk — dla mnie nie ma granicy:
Wołał cierpiący krzyk z żałobnych fal Ostrawicy!
A gdzieś echo wyniosło garść słów od Opola,
Sypiąc brzemię rozpaczy w noc Bogu do kolan...

— Juchy!... karwińscy hawiyrze,
Dejcie dusze za robote!
...Nii? — marsz baraby za dwiyrze;
Wybić tóm polskóm hołote!

Znam tylko jeden Śląsk — dla mnie nie ma granicy:
Znam te usta zacięte i spłakane lica,
Tę boleść wynoszoną w łachman codzienności!
...Plecy batem ubite — zapomniały się prościć!

Hań w Stónawie... hań w Stónawie,
Stojóm schlustane pomniki —
Błyszczóm rdzawie, błyszczóm rdzawie —
Hecząc w niebo niemym krzykym!

Znam tylko jeden Śląsk — dla mnie nie ma granicy:
Hej Opawo!... Hłuczynie!... hej! śląskie Ocice!
Mrok nad wami zaciąga cień bury, ciężarny...
Nadejść musi... nadejdzie — dzień świątly i parny!

Hórdu... hórdu — czas se leci;
Boleść rodzi wielki żniwo!
Jedno rano zarepeci,
Wolności sie mi zachciywo!"

II

ZBÓJNICY

(Śpiewają)

Hóc ze Śnieżki pod Opole,
I gróniami pańskim polem —
Chodzóm zbuje, zbujniczyska
Grofów trzaskać po pyszczyskach!

I na zómku we Wrocławiu
Hałdamaszek roz tam sprawióm!
... Z Janosikiem przy Opawie
I w Wałbrzychu byli prawie!

Wiedzóm kaj je Góra Łysa,
Kaj je Odra, Olza, Nysa —
Kaj je Frydek i Karwina,
Kaj się Polska rozpoczyna!

Oj Ondraszku oj! zbujniku
Chłopskiej sprawy bitewniku —
Hej na pany na dziedzice,
Ostrzyj, rychtuj se cieślice!

My biydota, robotniki
Wyduszone pańskim ćwikym,
Stworzym wielkóm husaryje — — —
Wojsko, wojsko — Ondrasz żyje!

III

JAKÓB SZELA

Głucho na dworze i głucho w mej duszy...
Ino, tak ino — nie ma tej wolności!
— Z chłopstwem na pany było trzeba ruszyć;
i było żniwo: trupy krew i kości!

PAWEŁ OSZELDA

Kim jesteś i dokąd los prowadzi?

JAKÓB SZELA

Jestem z Galicji... chłop Jakób Szela —
O prawa ludu chciałem bić się, wadzić.
Jeden z tych bitych, których tylu, wiela...

PAWEŁ OSZELDA

Słyszałem wieści, szedłem waszym śladem —
Chłopów na Śląsku w protest zszykowałem,
I w Końskiej — w Mostach... me chłopskie gromady
Napadły dwory — kosy w rękach, dźgały!
... A tamci? — wojsko, pomoc i huzary.
A my w rozsypkę i dwory w pożary.
Może się uda, może podyktuję?
Rządy dam nasze, prawa wytarguję!
Bunt trwał dość długo... chłopi w Raciborzu
Zew nasz podjęli — Śląsk zatrząsł się w ruchu!
...Ale to była tylko fala w morzu...
Cesarska przemoc kładła nas obuchem
Ta cudza przemoc grafy i książęta —
Rządząca hołota nad ludem w pętach!
— — — Ja jestem Pawłem Oszeldą z Cieszyna...

JAKÓB SZELA

Wspólna nasza sprawa, jedna przyczyna!

AKT II

(Początek 1945 roku. Jedna z normalnych cel więzienia Montelupich w Krakowie. W celi tli słabo żarówka. Na dwóch siennikach rozesłanych na podłodze spoczywa trzech więźniów: Anatol, Jan i Adam. W kącie celi obok stolika stoi dwóch dalszych więźniów: Jerzy w pasiakach więźnia oświęcimskiego i poeta Piotr. Od czasu do czasu słychać sygnały ostrzegawcze przejeżdżających obok więzienia tramwajów).

IV

PIOTR

...Z mojego kraju opowieść skończyłem
O buntach, chłopach, o cudzej niewoli —
Echa wracają, dzieje takie były.
A dziś to samo... dziś znów świat się pali!

JERZY

Ty to ze Śląska — — — a ja wprost z Warszawy;
Okrzeja, Montwiłł, Pawiaki, zesłania —
Niewola, spiski, bunty, car Konstanty,
Do pierwszej wojny ...do chwili zarania!

ANATOL

Myślisz to dwudziestolecie
Pokryte żałobnym kwieciem?

JERZY

Tak! ...wtedy Polska istniała!

ANATOL

Z nazwy mój druhu — nie z ciała!

JERZY

Nic nie rozumiem, jasno się wyrażaj!

ANATOL

Ta prawda męczy, wszystkich nas zatrważa.
...W Berezie prawo tworzył pan pułkownik;
Do dawnych czasów we wszystkim podobni!
— Chłop i robotnik... lokaje, ścierusy.
...Dziedzic, obszarnik — potęga, wiarusy!
Swoje rządziły książęta bez ludu.
Tworząc elitę i chwaląc się cudem!

Lech Budrecki

Z OKIEN FOLWARKU

Kończyła się pierwsza połowa XIX wieku. Zwycięskie mieszczaństwo wspierane przez swoich ideologicznych glossatorów opanowywało właśnie prowincję, zakładając w większych miastach banki i giełdy. We Francji rozgrywał się epilog walki przeróżnych du Tilletów z wielkimi posiadaczami ziemskimi, walki, która stała się przedmiotem wspaniałej powieści Balzaka o prowincji: „Chłopi". Dickens dawno już wszczął swoją działalność literacką, mającą zobrazować zwycięstwo bankierów i kupców, ich wielki triumf w pierwszych dziesiątkach lat ubiegłego stulecia. A u nas? U nas zaczynają się dopiero pojawiać pierwsze tomy zarysowujące artystyczną wizję prowincji. Prowincja stanie się głównym tematem naszej współczesnej powieści szlacheckiej, i aż do „Placówki" Prusa nie pojawi się żadna książka mieszczańska, usiłująca przedstawić nam wizerunek tego systematu dworków, folwarków i miasteczek od strony miasta. Przeciwnie, zajmując się polską literaturą powieściową o prowincji przez cały czas mieć będziemy do czynienia ze spojrzeniem na świat wprost z okien folwarku. Na peryferiach dopiero takiego widzenia pojawiać się będą Brody czy Dubno znane pisarzowi zazwyczaj tylko z kontraktów, na peryferiach umieści on wydarzenia społeczne jego klasy bezpośrednio nie dotyczące.

Po przez stronice „Spekulanta", Latarni czarnoksięskiej", „Kollokacji" — napróżno doszukiwanoby się śladów choćby tylko tej niezwykle wówczas silnej grupy społecznej, jaką na Zachodzie stanowiło mieszczaństwo. Gdzie się podziali kupcy, bankierzy, przemysłowcy? Nie ma ich. Nawet nic nie wskazuje na to, iżby gdziekolwiek i kiedykolwiek istnieli. Cały Wołyń Korzeniowskiego i Kraszewskiego jest zupełnie pozbawiony późniejszych kapitanów przemysłu. To zakrawa na niebylejakie wypaczenie historycznych wydarzeń, na niebylejaką mitologię. A jednak nią nie jest. Rozpaczliwy krzyk Szczepanowskiego w kilkadziesiąt lat potem o polskiego kapitalistę, o polskiego Nucingen'a jest smutnym głosem całkowitej martwoty mieszczaństwa w tych oto latach.

Ta warstwa socjalna nie dysponująca wówczas prawie żadnym kapitałem nie posiada tym samym żadnych możliwości na społeczną ekspansję. Nie dziw więc, że przyjeżdżający na jarmarki jedynie i na kontrakty do miasteczek ziemianie nie dostrzegali nic poza kilku sklepikami, zakładami rzemieślniczymi no i oczywiście resursami. Rzuca się to odrazu w oczy i przy pejzażu Berdyczowa w „Spekulancie", i przy znacznie już staranniejszym obrazie Dubna w „Latarni czarnoksięskiej". Jedyną postacią poważnego kapitalisty w powieści polskiej aż do „Morituri" będzie pan prezes z „Kollokacji", — herbowy szlachcic, posiadacz ziemski. Cała próba opanowania wioski kollokatorów nie posiada też żadnych znamion walk klasowych. To po prostu spór w dobrej rodzinie. Nie można tego kłaść na karb przeinaczeń pisarskich, wręcz przeciwnie — obraz, jaki daje nam Korzeniowski, jest wierny. Tak właśnie było. Jednak zaczynają pojawiać się już pierwsze groźby zapowiadające zupełną zatratę szlacheckiej idylli. Są to mieszczańscy finansiści wdzierający się powoli na prowincję. Jakiś bezimienny kupiec nabywający od p. Podziemskiej majątek, usłużny arendarz Abramko, no i przede wszystkim Szloma, uczuciowy Szloma. On dysponuje dużymi sumami pieniędzy, on uprawia lichwę, on rujnuje pojedyńczych kollokatorów. Nieraz dziwiłem się ostrości ujmowania postaci przez Korzeniowskiego, który mimo całego sentymentalnego bagażu wypowiedzi włożonych Szlomie w usta, potrafił pokazać jego właściwą funkcję, jaką w danym układzie stosunków spełniał. Taki właśnie Żyd, może podobny nawet do Szlomy, napastujący hrabinę Julię i jej męża w Dubnie — oto prawdziwe niebezpieczeństwo dla polskich Montcornetów.

Hrabinę Julię ocalił wtedy niespodziewany spadek. Ratunek nadchodzący w ten sposób ma wszelkie cechy cudowności. Z pewnością nie jest powszechny. Tym nieoczekiwanym ocaleniem uchronił się Kraszewski od opisu rozpaczliwej degrengolady polskiego ziemiaństwa, na który nie mógł się wtedy zdobyć. Uczynił to później, dając nam elegię na upadek wielkiego rodu. Jest nią powieść o polskim kapitaliście nie wywodzącym się z posiadającej szlachty: „Morituri". To dzieje późniejsze. Zaczynał się właśnie powolny kryzys wielkiej własności ziemskiej, związany z podbojem prowincji przez mieszczaństwo. Proces ten obejmuje prawie całą Polskę. Stoimy przecież u progu lat 70-tych, które przyniosą ze sobą gwałtowny wzrost przemysłu, niezwykły rozwój handlu. Kraszewski podjął się tu przedstawienia zupełnego bankructwa arystokracji i wykonał to nadzwyczaj wiernie. Realizm „Morituri" jest naprawdę realizmem dużej próby. Książęta Brańscy ustępują ze swojego majątku, książęta Brańscy tracą nieomal wszystkie posiadłości. Losu ich pisarz nie odwrócił. Niechęć do Zembrzyńskiego wypełniła coprawda komentarz autorski, ale nie wpłynęła na realistyczny tok powieści. Zabawne są jednak motywacje postępków, jakie pisarze polscy insynuują swoim bohaterom. Prus kazał Wokulskiemu robić majątek z miłości, u Kraszewskiego zaś Zembrzyński awansuje na Monte Christa. Rujnuje on książąt Brańskich z zemsty. Inaczej przecież działalność jego nie miałaby żadnego usprawiedliwienia etycznego. Zembrzyńscy niszczyli przecież książąt Brańskich nie ze względu na zemstę czy na jakieś urazy osobiste. Po prostu wymagały tego ich interesy. Kapitał musiał przynosić zyski, bez względu na konsekwencje, jakie to za sobą pociągało. W żadnym więc wypadku nie można pasować na bohaterów Dumasa czy Walter Scotta kapitalistów, gdy ci działając na prowincji, zakupywali folwarki, wygrywali nieprawnie procesy, wystawiając dobra magnackie na licytację. Grube pliki wekslowe w ich rękach zaczynają nowe dzieje prowincji, kiedy to kupcy przystąpią do częściowej przynajmniej likwidacji ziemiaństwa. Książęta Brańscy udadzą się wtedy raz jeszcze do Metropolii, tym razem na stałe, by zasilić tam kształtującą się właśnie inteligencję.

Wertując powieści Korzeniowskiego dziwiłem się nieraz nikłości roli, jaką spełniają w nich chłopi. Stanowią oni tu nie grupę społeczną, ale przedmiot, szczegół w opisie. Pisarz nie poświęca im wiele więcej uwagi, niż innym elementom krajobrazu. Zajmuje się nimi w takim samym stopniu, co i drzewami w parku, co i zabudowaniami gospodarczymi. Informuje nas o istnieniu chłopów i na tym poprzestaje. Wypełnia w ten sposób puste miejsce w pejzażu. Nic go ponadto nie obchodzi. Na tym się kończą jego zainteresowania. Dlatego to społeczeństwo szlacheckie i w „Spekulancie" i w „Kollokacji" wisi w powietrzu. Kto pracuje dla młodego Molickiego, kto zwiększa dochody marszałka? Bohaterowie tych powieści nie robią przecież nic. Nie da się wynaleźć nawet wzmianki, która by wskazywała na to, iż np. czuły Józef Starzycki trudni się jakimiś dodochodowymi zajęciami. A ci, którzy właściwie pracują wyłącznie na ich utrzymanie, zostali umiejscowieni gdzieś na dalekich marginaliach utworu. Nie występują prawie w tekście. Pamiętam z całej „Kollokacji" jedną scenę, gdzie pojawia się chłop. Jest nim pastuch, którego dziadek Starzycki bije aż do nieprzytomności. Autor nie omieszkał poinformować nas przy tym, że chłop zmasakrowany przez „zacnego" starca nie umarł. Jest to jedyny zresztą bodajże przypadek, kiedy ten modny ongiś dramaturg wykroczył poza granicę stałego przemilczania tych spraw.

Pierwsze trafne ujęcie stosunków społecznych, pierwszą charakterystykę praktyki pańszczyźnianej zawiera niewątpliwie dopiero twórczość Kraszewskiego. Obraz prowincji, jaki znajdziemy w dziełach tego pisarza, szczególnie w skonstruowanej na wzór Lesage'a „Latarni czarnoksięskiej", jest naprawdę godny podziwu ze względu na niezwykłą celność przedstawienia zachodzących wówczas przeobrażeń ekonomiczno-społecznych. On to wskazał na ustrój jako na bezpośrednią przyczynę wyzysku społecznego, który szerzył się wtedy w całej obszarniczej Ukrainie. Przyglądając się jednak uważnie metodom percepowania faktów i przedstawiania ich, najbardziej właściwym Kraszewskiemu, łatwo byśmy stwierdzili, iż bezpośrednią kontynuatorką i spadkobierczynią tego właśnie realizmu jest nikt inny, tylko Pola Gojawiczyńska w „Dziewczętach z Nowolipek". I tu bowiem i tam jedynymi wynikami niewłaściwych układów ekonomicznych są konsekwencje wyłącznie natury erotycznej. Pozostałości feudalizmu w Polsce powodują zdaniem Kraszewskiego tylko to, że Ulana śpi z młodym dziedzicem a nie z mężem. Działanie machiny socjalnego „wyzysku" zostaje uchwycone w jednej dziedzinie, w życiu seksualnym. Naturalnie wielki pisarz, jakim mimo wszystko był Kraszewski, uniknął tak rozpaczliwego spłycenia problemu, którego dokonała autorka „Rajskiej jabłoni".

Gdyby zestawić ze sobą opis Wołynia w „Latarni czarnoksięskiej" z tym, jaki spreparował ten sam pisarz w „Bożej czeladce" uderzałaby od razu ich niezgodność, ba, nawet ich przeciwstawność. O ile bowiem pierwsza powieść stała się mniejwięcej wizerunkiem prowincji, o tyle druga bazowała na utopii wprowadzając nas do wnętrza szlacheckiego raju w ogrody arkadyjskie, gdzie to uczciwy i pobożny szlachcic troszczył się o swoich poddanych uprawiając między nimi filantropię. Nie ma tu już pokrzywdzonych włościan, grupy społeczne żyją w największej zgodzie i solidarności. Tu przechowuje się przecież cnota i moralność, obce zepsuciu wielkich miast.

Tak więc powstawały prospekty życia wzorowych ziemian, poczciwej szlachty. Nic więc dziwnego, że i jedna z pierwszych polskich powieści o awansie społecznym stanowi taką właśnie parodię „Czerwonych i Czarnych", którym miała prawdopodobnie swoją ideologię przeciwstawić. Ten właśnie utwór nosi tytuł od nazwiska swego polskiego Sorela „Ostap Bondarczuk". Dziwna jest historia tego poleskiego chłopa, który dobrowolnie wyrzeka się pozycji społecznej, jaką nadawała mu częściowa adaptacja przez dziedzica i powraca między lud, by szerzyć tam działalność charytatywną. Dobry Ostap nie osiągnie nigdy panny de la Mole. Powróci do żony, osiądzie na ojcowiźnie. Zachowa jednak w stosunku do dworu poczucie solidarności, która każe mu bronić przed zbuntowanymi chłopami „dobrej jak anioł" hrabianki. Tak oto wygląda przepis na polskiego Sorela, przepis stworzony przez pisarza szlacheckiego, przepis pewny i co najważniejsze — bezpieczny.

Józef Kapuściński

Struktura jednego powiatu

Aby ocenić doniosłość reform jakie zostały dokonane na wsi trzeba cofnąć się wstecz na lata przed wojną i przypatrzeć się cyfrom statystycznym, które są najlepszym zwierciadłem, odbijającym najdokładniej życie ówczesnej wsi. Gdy wieś sama przejrzy się w tym zwierciadle, to o resztę możemy być spokojni — stanie po naszej stronie bez zastrzeżeń.



Józef Kapuściński

Oto obrazek z jednej książeczki, zapisków z rocznika statystycznego i własnych obserwacji jednego typowo rolniczego powiatu Polski przedwojennej. Powierzchnia powiatu 754 km kwadrat., ludności okrągło 92.000 dusz czyli 120 na I km kwadr., ziemi użytkowej 59.750 ha czyli przeciętnie 65 ar na głowę — z całej ludności powiatu. 2640 osób pracowało przy kolei, innych około 2000 w rzemiośle i handlu, reszta przy rolnictwie. Rodzin bezrolnych czyli służby folwarcznej było 1540.

Struktura tego powiatu wyglądała następująco: Gospodarstw do $\frac{1}{2}$ ha ziemi było 2060, od $\frac{1}{2}$ — 1 ha 2440, od 1 — 2 ha 3825. Czyli razem największej biedoty rolniczej w tym jednym powiecie, wliczając w to rodziny bezrolnych było 9865 rodzin, licząc po 5 dusz na jednym. Stanowiło to prawie 50.000 głów, czyli połowa ludności powiatu żyła w nędzy, ubóstwie i poniżeniu gospodarczym. Idziemy dalej za tymi cyframi. I znowu mówią nam one bardzo dużo o tej wsi, o tym życiu wsi spokojnej, wsi wesołej. Gospodarstw od 2 — 3 ha było 2976, od 3 — 4 ha 1798, od 4—5 ha 1197. Przyjąwszy już to, że te gospodarstwa mogły być zaliczone do samowystarczalnych, czyli nie cierpiało teoretycznie na brak chleba — 5971. Gospodarstw, które mogły być zaliczone do gospodarstw pełnych samowystarczalnych to jest takich, które liczyły od 5 — 20 ha było zaledwie 939. Folwarków od 50 — 100 ha było 23, zaś majątków wyżej 100 ha 39, czyli, że tych 62 jednostek gospodarczych posiadało następującą ilość ziemi: jeżeli przyjmiemy, że owe 23 gospodarstwa od 50—100 ha miało przeciętnie po 80 ha ziemi, daje nam to powierzchnię 1840 ha. Jeżeli znowu przyjmiemy, że gospodarstwa wyżej 100 ha miały przeciętnie po 300 ha — co daje nam 11700 ha, to dojdziemy, że owe 62 folwarków miało około 13540 ha ziemi. A zatym 62 rodzin posiadało przeszło 13540 ha najlepszej ziemi, najpiękniejszych sadów i ogrodów.

Weźmy ołówek do ręki i spokojnie sumujmy — 2060 rodzin przeciętnie po $\frac{1}{2}$ ha daje nam 1030 ha — 2440 rodzin po 1 ha przynosi 2440 ha, zaś 3825 rodzin po 2 ha liczy razem 7650 czyli, że 8325 rodzin było w posiadaniu teoretycznym 11.120 ha, ziemi a w rzeczywistości dużo mniej, gdyż nie każda rodzina z tej pierwszej kategorii posiadała pełne $\frac{1}{2}$ ha ziemi, a druga po pełne 1 ha i ta trzecia po pełne 2 ha Możemy przyjąć za pewnik, że tych 8325 rodzin nie było w posiadaniu nawet 10.000 ha czyli, że owe 62 rodzin „pańskich" miało napewno dwa razy więcej ziemi jak 8325 rodzin chłopskich, a doliczając do tej cyfry rodziny bezrolne, te 9865 rodzin posiadało zaledwie $\frac{3}{4}$ ziemi znajdującej się w rękach 62 rodzin pańskich. Przyjąwszy na każdą rodzinę po 5 głów, dochodzimy do tego, że 310 osób żyło „po pańsku" czyli po ludzku, a 50.000 osób po „chłopsku" czyli klepało skrajną nędzę. Wyniki takiej struktury powiatu nie dały na siebie długo czekać.

Corocznie około 15.000 osób młodych, najsilniejszy fizycznie element emigrował do Ameryki i Kanady a drugie tyle na „saksy".

Dzielenie rodzinne gruntów doprowadzało do tego, że najwięcej „gospodarstw" było takich, których szerokość mierzyło się płotem, a długość „baranią kiszką". Kiedy już nie można było dzielić tych „kiszek" wzdłuż, to dzielono w poprzek i tworzono takie „oazy" rolne, do których można było samolotem dojechać. Kiedy zaś ktoś zmuszony był jechać wozem z obornikiem lub snopkami, rezultatem takiej jazdy były bitki na polu, a potem długotrwałe procesy o pobicie i prawo przejazdu. To było owo słynne dno kryzysu, do którego nikt nie miał ochoty zaglądać, aby nie nabawić się zawrotu głowy i nie dotknąć tej drażliwej kwestii, o której dużo mówiono, pisano, czytano, ale w rezultacie nic nie zrobiono.

Kogo te cyfry nie przekonają o konieczności przeprowadzenia reformy rolnej takiej jak dzisiaj, ten chyba nie może czy nie chce zrozumieć tego, że sprawa już była „nabrzmiała" do pęknięcia jak wrzód. Jak wyglądały zbiory z takiego gospodarstwa, jak stosowano mechaniczną uprawę, nawozy sztuczne itp. to już można sobie dośpiewać.

Już wtedy przed wojną wysuwano postulaty, aby ten powiat uprzemysłowić, aby część ludności skierować do wewnętrznej emigracji, aby dać pomoc dla rodzimego rzemiosła, jednym słowem, aby zmienić ten paradoksalny stan rzeczy i „coś" zrobić. To coś nie było jasno określone i nie mogło być odpowiednio sprecyzowane. A choćby i było, to czy mogło być wykonane?

Dzisiaj już nie ma takich klas jak „bezrolni", występuje tylko kwestia umocnienia zdobyczy społecznych i reform, wrośnięcia głęboko w tę nową rzeczywistość Wieś polska przeobraża się w naszych oczach, a choć tu i ówdzie mamy do zanotowania pewne niedociągnięcia, jednak stale dążymy do lepszego życia. Trzeba tylko, abyśmy my — twórcy nowej historii wsi — nie byli opieszali.

Za tym w myśl wskazań poety trzeba z żywymi naprzód iść po życie sięgać nowe.

Stanisław Witowski

W DOSTATKU

(Fragment przygotowanej do druku powieści p.t. „Nowe pokolenie")

BOLEK zmuszony był iść na służbę. Co prawda szedł na nią z pewną ciekawością. Przede wszystkim podobał mu się gospodarz, który go zgodził —daleki krewny ojca. Chłopak był przekonany, że biedy nie dozna, jak często w domu i na innych służbach w rodzinnej wsi. Nadto — z powodu skończonych już osiemnastu lat — ciekawiła go dalsza okolica.'

Z daleka przez pole w śniegu obejmował oczyma tę zagrodę, gdzie przyjdzie mu jutro pracować i przede wszystkim uczyć się,gdyżJędrusiak był najlepszym i najzamożniejszym gospodarzem w okolicy. Posiadał blisko czterdzieści morgów, prócz domu—ceglaną stajnię, stodołę rozległą pod dachówką. Z daeka było wszystko doskonale widać, zwłaszcza że bezlistne drzewa nie przesłaniały całkiem zagrody, spokojnej wsi. Jędrusiak miał nieudanego syna, który liczył już blisko trzydzieści lat. Kiedyś w dzieciństwie spadł z konia na którego posadził go dziadek. Mikołaj od tej pory nie dosłyszy, a także jest trochę ograniczony na umyśle. Bolek był ciekawy go ujrzeć.

Styczniowe słońce wyjrzało pod zachód z sinych chmur, gdy Bolek kierował się wprost do zagrody Jędrusiaka. Serce mu trochę biło: — nie znał gospodyni, reszty domowników. Jakże tu się poczuje, zwłaszcza w pierwsze dni?

Na szczęście pierwszego w podwórzu zobaczył gospodarza — poił stojące przy studni krowy. Nowe wiadro wody wyciągał za pomocą żurawia. Ujrzawszy Bolka z zawiniątkiempod pachą, wylał zawartość kubla do koryta i dość żwawo ruszył w kierunku bramy. Mimo barankowej czapki dobrze było widać jego szronkowate włosy, podobny wąs, czerstwe oblicze. Okrasił je nadto teraz przyjazny uśmiech, na który Bolek nie pozostał obojętny. Zrobiło mu się raźniej w duszy — z natury wesołej, zdrowej. Poczuł się mniej tu obcy, mimo zimy i śniegu — obszernego nieznanego podwórza.

— Jesteś? Tego... — zaczął Jędrusiak, podając mu rękę. — Może pójdziesz ogrzać się do mieszkania, bo ja... tego... — miał widać takie przysłowie.

Ruszył pierwszy. Bolek za nim.

Napoili najpierw konie. Rozmawiali niewiele, lecz obaj czuli jedno bez próżnych słów — że kochają zwierzęta, one zaś ich. Czyż do tego patrzeba wynurzeń? Widać to odrazu po ludziach i stworzeniach — bardziej życzliwych od niektórych bliźnich.

Przyjacielski okazał się i pies, który nareszcie wylazł z ceglanej budy. Niby to na intencję gospodarza, lecz i do Bolka — pomerdał ogonem.

Zobaczył wszystkich niebawem w izbie przy świetle dużej lampy naftowej. Gospodynię — urodną jeszcze kobietę, przy niej wnuczkę po zięciu z Rychnowa — piętnastoletnią już Anielę i prócz pucołowatej służącej, Mikołaja, który wkrótce przyszedł na wieczerzę. W istocie, wygląd miał zwracający uwagę — niemal już dziadkowaty i przy wygolonej, pociągłej twarzy — pół smutny jak u kalek. Ogromnie był jednak ciekawy mimo głuchoty, a może właśnie przez nią. Zaraz wziął Bolka na spytki — kto, skąd. Po każdej odpowiedzi zastanawiał się długo, jakby ją przełykając, trawiąc i znowu pytał. W końcu powiedział z bladym uśmiechem, podając Bolkowi rękę.

— Tośmy są prawie krewni... Więc będziemy wspólnie pracować. Czekaj, ino ja się ożenię...

Wszyscy na to się uśmiechneli, lub opuścili głowy, jak ojciec — Jędrusiak. To była mania Mikołaja — ciągła mowa o żeniaczce, jeżdżenie po bogatych pannach w okolicy i dalej. Nikt nie brał tego poważnie, prócz Mikołaja. — Gdzież jemu w tym stanie do żeniaczki, a jeszcze z wyjątkowo ładną bogatą dziewczyną, gdyż tylko takie odwiedzał, ku ich zabawie i zawstydzeniu jednocześnie. Co prawda, dziadek zapisał mu, jako winny kalectwa, swoją część na której dotąd gospodarzył, ale niewiele — dwanaście morgów. Mikołaj zaś spodziewał się zająć całe ojcowskie gospodarstwo, choć Jędrusiak w pełni siły i ze względu na takiego syna wcale się nie kwapił z oddaniem ziemi. Mikołaj niby robił na podwórzu w roli, a właściwie to utykał — podobnie jak przy chodzeniu. Co prawda, w tak wielkim gospodarstwie można było tylko rządzić, lecz Mikołaj i do tego był niezdolny — jakiś po tym upadku z konia przytępiony.

Bolek przekonał się jeszcze o tym, gdy Mikołaj przed snem odwiedził go w stajni, dokąd pomógł zanieść mu poduszkę. Badał go przytym o dziewczyny w Rychnowie — do której wartoby uderzyć... Bolek objaśnił go, wesoły i smutny jednocześnie na widok takiego niedołęstwa umysłowego. Bądź co bądź, polubił Mikołaja, stale jakby w coś zasłuchanego ze smutnym na ustach uśmiechem... W ogóle polubił wszystkich, a szczególnie Anielkę — urodną niezwykle, choć młódka to jeszcze. Przyglądała się uważnie nowemu służącemu — krewniakowi. Bolek podobał się także — wysoki jak na swe lata, o pociągłej ochoczej twarzy, wesołych niebieskich oczach.

Rzeczywiście Bolek z każdym dniem lubił coraz więcej otaczających go ludzi, także zwierzęta. Konie traktował niemal jak kolegów, krowy jak zabawne dobre znajome, psy — jak przyjaciół. Nawet — rzecz osobliwa — Mikołaj przywiązał się wyjątkowo do niego i choć dużo starszy, często zasięgał rady Bolka, zwierzał mu się ze swych zamiarów co do ożenku i prowadzenia wkrótce na własną rękę gospodarstwa.

Bolek mu radził, niby poważnie, to i owo, po czym Mikołaj zamyślał się głęboko, by znów po chwili o coś zagabywać. W istocie chłopak najwięcej poważał gospodarza, szanował bardziej z dnia na dzień. Przyczyniły się do tego skąpe wynurzenia Jędrusiaka. Zaraz po ożenku wyruszył do Niemiec, by coś przykupić do zapisania mu przez teścia dwóch „ćwiartek". Rzeczywiście, najpierw sam, potem z żoną jeżdżąc co lato „na Zaksy", potrafił dokupić w końcu przeszło piętnaście morgów — wszystko z pracy rąk. Później kolejno wznosił budynki — więc najpierw stajnię, oborę potem stodołę o dwóch klepiskach, na ostatku zaś dom, niby dwór. W istocie były cztery izby, oprócz kuchni i spiżarni, pod nią piwnice. I nigdy nie cisnął się na żaden urząd, nawet za sołtysa, choćby i wójtem mógł zostać, gdyby się nie wymawiał stanowczo od tego wątpliwego zaszczytu. On kochał przede wszystkim swe gospodartwo, ziemię, inwentarz. Cierpiał z nim, jeśli które ze stworzeń było chore, i to nie z powodu braku siły czy mleka, ale że tak się zrósł z nim organicznie.

Prócz syna Mikołaja, drugim zmartwieniem dla Jędrusiaków był ich zięć— Jan Kraczkiewicz w Rychnowie. Odziedziczył on po ojcu trzydzieści morgów, dostał ładny posag od teściów, ziemię miał wyborną, i — ostatnio sporo, długów, mimo zasiłków ze strony teścia. Zaś i u Jędrusiaków trudno było ostatnio o pieniądze. Po niedawnej budowie domu drenował Jędrusiak wszystkie pola, nabył rasowego stadnika, klacz do rozpłodu. Żałował na wszystko, tylko nie na gospodarstwo. Posiadał też je na okolicę wzorowe, choć tutaj w Kaliskim nie brakowało dobrze prowadzonych przedsiębiorstw rolnych. I bynajmniej nie w chęci zysku, bogacenia się nadal czynił to Jędrusiak, tylko — by mieć wszystko w dobrym rodzaju, jak tylko można ulepszone i wzorowe.

Cieszył się też poważaniem sąsiadów, choć próżnej chwalby nie szukał, nie myślał po prostu o niej. Robił tylko to, co mu sumienie gospodarskie dyktowało. Było to jego pasją, zamiłowaniem. W robocie też zabijał smutek z powodu nieudanych dzieci. Córka za innym zięciem byłaby może dobrą gospodynią — przy niedbałym Janie, lubiącym także wypić, i ona się rozleniwiła — nie miał kto jej poganiać, pilnować, jak to zwykle kobietę, nie lubiącą długiej i wytrwałej troski. A z niej dopiero rodzi się złotówka czy zboże na polu, tłuście ja prosięta.... Patrząc z daleka na gospodarstwo Kraczkiewicza, Jędrusiak chociaż wnuczkę postanowił uratować na dobrą gospodynię w przyszłości, zwłaszcza że u Kraczkiewiczów nie brakowało „pociech". Do tego Jan był zdolny... Anielka też rosła u dziadków, jak tylko skończyła szkołę powszechną w Rychnowie. Owszem, we trzy, z Jędrusiakową i służącą potrafiły pod nadzorem prowadzić kobiece gospodarstwo. Tyle, co we żniwa i na wykopki jesienią przybierało się ludzi z okolicy. Szli chętnie do Jędrusiaka, gdyż płacił i dawał jeść dobrze. Na to nie było żal mu pieniędzy, bo wiedział, że każdy musi otrzymać swoje za swoje.

— Tego... — mawiał zwykle. — Jak krowie nie dasz makuchu lub otrąb — nie można wymagać od niej mleka, bez owsa siły od koni. Bydlęcia nie oszukasz, a co dopiero człowieka. Taki już porządek w przyrodzeniu rzeczy. Tego...

Bolka nie zdziwiło nawet, że znalazł u Jędrusiaka kilka książek. Przede wszystkim parę kalendarzy rolniczych, poradnik weterynaryjny, życie i czyny Kościuszki w skromnym wydaniu. Bolek czytał dość dobrze, ale lubił gdy sam Jędrusiak usiadł za stołem po kolacji w zimowy wieczór i w okularach na nosie, srebrzystowłosy, poważny, czytał głośno, wszyscy go słuchali, drąc pierze w świetle biało płonącej lampy. Spoglądali wszyscy na siebie wzajem, to na czytającego, czasem uśmiech rozjaśnił usta, oczy, zwłaszcza młodych. Mikołaj rzadko usiedział cierpliwie, zazwyczaj pomału wymykał się na wieś albo gdzie dalej. Zachodził i do drugich parafii, szczególnie w niedzielę, tak że często wracał nad ranem. Wstępował po odwiedzeniu jakiej panny na przygodne muzyki, na których zwykle stał i spoglądał, nie słysząc nawet, że z niego żartują, jak często przedtem dziewczyna, u której bywał w niekończących się zamiarach. A wszystko z obawy, że wybrana nie będzie go dość szanować, zechce biegać na muzyki mimo jego woli. Starszej zaś ani mniej ładnej wziąć nie miał ochoty. Niestety. Wszystkie poznane dotąd, chociaż nie brzydkie, zdawały mu się zbyt zalotne — do drugich chłopców... Ubogiej ze względu na wielkie gospodarstwo wziąć nie można. A tu trzydziestka już mija. — Co tu robić, jak postanowić? Ojciec żenić się nie broni, w ogóle nikt nie ma mu za złe, że żony szuka, tylko — nie zgadza się jedno z drugim. — Trzeba pojechać latem gdzie dalej — rozważał nieraz głośno Mikołaj.

Bolek bardzo go lubił obserwować, gdy tak samotny rozmawiał sam z sobą w oborze lub stodole. I ręką sobie przekładał w powietrzu i przytakiwał głową... Było to wzruszające poniekąd — ta rozmowa człowieka z pustką albo z niemymi stworzeniami. Gdyż Mikołaj, prócz chwil, kiedy wpadał nagle o głupstwo w gniew, kochał zwierzęta. Krowy uważały go za równego, konie za brata, psy niemal wskakiwały mu na głowę. Mikołaj się nie obrażał, utopiony we swoim — niemożności znalezienia ulubionej i niebrzydkiej dziewczyny. I nie starej także, gdy jemu nadchodziły już Chrystusowe lata.. Tak, tak, — będzie jeździł za dziewczyną, o jakiej myśli, na wiosnę. Tak, ma rower.

W ten sposób wszycy o czymś marząc, wyczekiwali wiosny. Tymczasem siedzieli w ciepłej izbie wieczorem, gdy na polach świstała zadymka, drzewa mroczały wśród zawiei śnieżnej, zaś w oborze, w stajni — w cieple również zapachu nawozu, mleka, spoczywały przeżuwające krowy, konie stojąc parskały w owies. I one podświadomie tęskniły do wiosny.

Wiosna nadchodziła pomału, statecznie. Jak wszystko dobre, kazała na siebie czekać, cofała się, niby dziewczyna kapryśna, zwlekająca z przyjściem.

Nie zważając na chłód, ludzie zaczęli się już ruszać po obejściu i po polach. Wywożono jeszcze gnoje, które ciemnożółte — nasycały jasne powietrze ostrym, rolnikowi miłym zapachem. Dziady i babki ruszyły też z zimowych leżysk. Bolek znał niektóre, jak na przykład Grzesińską z sąsiedniej wioski. Żałosne doprawdy były jej dzieje. Dziewczyną pojechała służyć do Łodzi. Tam mamkując u fabrykantów, zarabiała nieźle. Pieniądze wszystkie niemal przesyłała szwagrowi, siostrze, żeby przykupywali pola. Przykupili — za jej pracę — dziesięć morgów na swoje imię, bo gdzieżby siostra skrzywdziła siostrę — wierzyła Grzesińska. Gdy sił nie będzie mieć do roboty w mieście — oni dadzą jej wycug... No i dali obecnie: po proszonym musi chodzić, rodzona siostra przy milczeniu ze strony szwagra nazywa ją latawicą... Za tyle lat pracy, odmawiała sobie wszystkiego. Że ich dzieci nie potrzebują teraz służyć... A mogła była wyjść za mąż — nie wierzyła obcemu w Łodzi, wierzyła siostrze i teraz oto — pogoda, niepogoda, gdy w piersiach brakuje tchu...

Mówiła to ze łzami w oczach Bolkowi, gdy wracał końmi z pola po zwaleniu nawozu. Daleko było jeszcze do wsi, więc kazał jej przysiąść na gnojnicach, okrytych workiem. I wstydliwie, obejrzawszy się, wręczył jej złotówkę. Błogosławiła go jak syna, brata. Wyspowiadała się w końcu ze wszystkiego. Toć miała synaczka — panną — rodzina wysłała ją do Łodzi, a dziecko tu chyba zagłodzili — swój wstyd, a jej pociechę może teraz na stare lata... I choć dziecko nie żyło już, precz dla niego odbierali pieniądze, ubranka. Powiedzieli jej dopiero, gdy wróciła na wieś. Wyłgali się w ten sposób, że nie chcieli jej smucić wiadomością, o której i tak przecież w końcu się dowie.

— A ja czułam — kończyła swą bolesną spowiedź — że moja kruszyna nie żyje, bo mleko mi w piersiach ustało. Tęskniłam do sieroty, tuląc inne dziecko w objęciu.... Paniczku młody — wytłumacz mi, jaki to jest ten ład na świecie. Swój swego żeby tak ogryzł do kości, bez sumienia. Nie mieć gdzie umrzeć obecnie, ni jednej nocy spokojnej... Boże, jesteś Ty w niebiesiech? — podniosła w górę wypłakane oczy.

Bolek nie mógł jej dać na to stanowczej odpowiedzi, więc milczał. Sam zaczynał wątpić, czy to jest tak w istocie, jak uczy Kościół. Po tym, co się widzi na probostwach, we wsi, w świecie... Czy ludzie sami nie wymyślili tego, by móc odsyłać po zapłatę drugich tam, dokąd się sami nie śpieszą? Wszak najczęściej cierpią dziecinni, ufni. Ludzie mądrzy są twardzi dla drugich, samolubni, więc dlaczego przy swej wiedzy Boga się nie wstydzą? Czemu piekła im nie strach, a nieba — jak grobu się boją?

W OSTATNIM 21 — 22 (100—101) NUMERZE „WSI" Z DNIA 25 MAJA — 1 CZERWCA 1947 ROKU

„KTO JEST CHŁOPEM?"

(rozmowa prowadzona na łamach „Wsi")

M. BARCHANOWSKA:

Zastanówmy się co rozumiemy pod słowem „chłop"? Chłop to człowiek, który mieszka na wsi, posiada gospodarstwo, uprawia ziemię, człowiek, któremu przysługuje z tytułu jego pracy noszenie stroju ludowego, który mówi gwarą i jest — powiedzmy szczerze — odpowiednio ciemny. Wykluczenie ostatnich cech kwestionuje również chłopskość. Można posiadać gospodarstwo, mieszkać na wsi, a być inteligentem. Termin „inteligencja chłopska" nie jest powszechnie przyjęty ze zrozumiałych powodów: trudno mówić o czymś, czego prawie zupełnie nie ma.

Ale chłop mówiący literackim językiem, czytający książki z biblioteki „Wiedza techniki", czy z biblioteki „Laureatów Nobla", stały słuchacz audycji radiowych chłop-inżynier, technik, lekarz, kierownik świetlic, kursów, spółdzielni — czy będzie jeszcze czy już nie będzie chłopem?

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI:

M. Barchanowska określa jako chłopa człowieka mieszkającego na wsi, posiadającego gospodarstwo, uprawiającego ziemię, mogącego używać stroju ludowego, mówiącego gwarą i, co u autorki zasługuje na specjalne podkreślenie, odpowiednio ciemnego. Nie posiadanie gospodarstwa, uprawa roli własnymi rękami, ziemia jako podstawa bytu materialnego, jako jedyne źródło dochodów, nie związanie i zależność od przyrody na skutek pracy na roli, ale ciemnota, po części z tym związane używanie gwary i stroju ludowego, to są najistotniejsze cechy chłopa decydujące o jego „chłopskości". Niewątpliwie one także.

Ale **to są cechy** najmniej istotne **dla problemu** chłopskości. O chłopskości decyduje według mnie pewien typ pracy i uwarunkowany nim światopogląd i stosunek do przyrody. A więc nie krakowska kierezyja, nie mazurzenie i nie tak nieodstępna od chłopa ciemnota. Te cechy jakkolwiek dziś jeszcze dla chłopa charakterystyczne najprawdopodobniej w przyszłości (odległej jeszcze coprawda) zaginą, ale człowiek posiadający gospodarstwo, uprawiający ziemię, z ziemią związany i od ziemi zależny chłopem zostanie bo decydować będzie jego odmienny typ patrzenia na świat i życie.

Czy będzie kształtowało psychikę inżyniera, lekarza, technika — praca na roli? Orka, siew, żniwa? Czy troska o pogodę a niepokój słoty spędza mu sen z powiek?

Inżynier będzie inżynierem — dla inżyniera pępkiem świata będzie maszyna, dla lekarza też jego zawód. Dla nich niepokój o to by zboże nie wymarzło lub je grad nie wybił, nie będzie nigdy głębokim, poważnym, jak dla właściciela tej ziemi, siewcy tego zboża — chłopa. Reasumując więc, chłop to ten, który orze, sieje, zbiera i dla którego nieurodzaj jest katastrofą życiową. W związku zaś z tą pracą i życiem na łonie natury i w związku z zależnością od niej pewien właściwy mu odrębny typ psychiki i postawy wobec życia, określa jego chłopskość.

GŁOS Z BOKU:

Potwierdza sąd Leszczyńskiego prof. Pigoń, który w „Głównych problemach literatury ludowej" powiada wyraźnie: „A chłopem jest, kto należy do **stanu chłopskiego**, kto siedzi na wsi i z pracą na roli związał swój los życiowy".

ADOLF KOTARBA:

Tak! Chłop mieszka na wsi, uprawia ziemię, hoduje bydło, trzodę i drób, chodzi w sukmanie, mówi gwarą i jest mało rozwinięty umysłowo...

Tak sądzą w olbrzymiej większości mieszczuchy.

Sprawa przedstawia się zgoła inaczej.

Chłopem jest rolnik lub ogrodnik pracujący na roli własnej lub za zapłatą na obcej, rzemieślnik wiejski jak kowal, kołodziej, szewc, bednarz, chałupnik każdego rodzaju, sklepikarz. Ten ostatni o ile pochodzi ze wsi i nie wstydzi się swego pochodzenia.

Chłop nie musi chodzić w sukmanie czy siermiędze, może nosić się jak uważa za stosowne, nie musi mówić gwarą — bo ta zanika prawie wszędzie, a zwłaszcza w takich wsiach, gdzie są 7-klasowe szkoły powszechne z wyjątkiem takich okolic regionalnych, jak Podkarpacie czy Śląsk, gdzie gwara nie dała się wyprzeć ze swego dominującego stanowiska.

Chłopem jest rolnik — praktyk, analfabeta, lecz jest nim także rolnik-agronom, (w Danii prawie każdy rolnik jest agronomem). Wreszcie chłopami są chałupnicy i rzemieślnicy wiejscy.

WŁADYSŁAW KOSOWSKI:

Jestem chłopem — gdyż: urodziłem się we wsi i mieszkam na wsi, posiadam własne, choć maleńkie gospodarstwo, które własnymi rękami obrabiam. Stroju ludowego—niestety, ani ja, ani żona nie nosimy, gdyż takowy w okolicy naszej dawno już zaginął. Mówimy językiem prawie, że literackim, ponieważ gwara we wsi naszej i okolicznych jest w zaniku, a tworzy się jakiś żargon podmiejski.

Na koniec powiem szczerze — wykształcenia oprócz szkoły powszechnej nie mam żadnego, ale Bogu dzięki, ciemny jak tabaka w rogu nie jestem, ponieważ mogę czytać i czytam książki z biblioteki „Wiedza i technika" i z biblioteki „Laureatów Nobla" mam ich własnych kilkaset tomów. Poza tym prenumeruję siedem czasopism, a są to: „Wieś", „Odrodzenie", „Kuźnica", „Tygodnik Powszechny", „Przekrój", „Szatandar Chłopski" i „Piast". Oprócz tego czytam jeszcze „Życie Literackie", „Zdrój" i wiele innych. Przed wojną miałem nawet własny radioodbiornik, za którym i obecnie tesknię, tak samo, jak i za drogą bitą we wsi, za światłem elektrycznym, komunikacją samochodową i t. d. i t. p., a mimo to jestem i pozostanę chłopem.

PIOTR WYROBEK:

Nie wszędzie u nas w kraju nazywają chłopem mieszkańca wsi, bo mówią o tych, którzy posiadają jakiś majątek nieruchomy, że są gospodarzami. Można to słyszeć w Małopolsce jak i w Poznańskiem. O chłopach wyrażają się wtedy, gdy chcą oznaczyć pewną ilość mężczyzn, np. „było tam około pięćdziesięciu chłopa" lub gdy chcą ocenić jakiś przymiot danego człowieka to mówią: „to piękny, dobry chłop". Dzięki jednak właściwości języka polskiego, jaką możemy się poszczycić, możemy uczcić takiego np. Napoleona, Kościuszkę czy Witosa mianem: to był dobry chłop (dobry człowiek!).

Ob. M. Barchanowska nie obawia się o to, że „chłop mówiący językiem literackim i czytający książki z biblioteki „Wiedza i technika" czy z biblioteki „Laureatów Nobla", stały słuchacz audycyj radiowych, chłop-inżynier, technik, lekarz, kierownik świetlic, kursów, spółdzielni" itp. pójdzie (jak bywało) „za panicza do dworu", bo on będzie i pozostanie na zawsze chłopem - obywatelem Polski Ludowej — bez względu na ubiór, zajęcie i wykształcenie, — nie wstydzac się swego chłopskiego pochodzenia przypieczętowanego historyczną nazwą „chłop".

Chłop może być rolnikiem, zagrodnikiem, ogrodnikiem i gospodarzem, czyli „gazdą" jak mówią Podhalanie, a może też być w mieście adwokatem, sędzią, lekarzem, profesorem, księdzem — czy szewcem i wyrobnikiem, ale też może być i taki, którego zasługi dla Ojczyzny przeważają zasługi niejednego z królów.

JAN LIPIEC:

I słusznie.

Słowo „Chłop" wypełnione niegdyś krzywdą i pogardą, w najlepszym razie współczuciem, dziś wymawiane jest z pełną świadomością treści społecznej, z szacunkiem bądź z dumą... W dzisiejszej wartości wyrazów „chłop", „chłopski", „ludowiec", „ludowy" kryje się zwycięski a żmudny pochód wsi polskiej przez ostatnie kilkudziesięciolecie, kryje się skomplikowany proces powstawania świadomości społecznej chłopów.

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI:

Pomimo, że obchodzi mnie bardzo pozycja polityczna i społeczna chłopa, i w rozmowach z chłopem nie pozwoliłbym sobie na sentymentalne podziwy „wsi spokojnej, wsi wesołej" — to osobiście, kiedy znajdę się sam na sam ze wsią jako zbiorowiskiem pól, domów i ludzi, odczuwam ją jako źródło specyficznego nastroju, specjalnej, tchnącej naturą atmosfery. Jest mi ona czasem tak potrzebna, jak atmosfera kulturalna, jak dyskusje literackie z kolegami. Obstawiona lipami droga, wystające zza płotów strzechy, długi i płytki staw, popstrzony kąpiącymi się kaczkami, wesołe nawoływania dziewcząt o muskularnych nogach, skrzypiąca fura tocząca się środkiem drogi, rozwarte wierzeje stodół i dolatujące stukanie cepów... ten cały krajobraz wsi jest mi drogi i cenny, wzruszam się nim, potrafię wpatrywać się w niego godzinami i przeżywać. Ma się rozumieć jest to patrzenie na wieś przez pryzmat estetycznie wyszkolonego na malarstwie, literaturze i wiedzy gimnazjalnej odczucia. U chłopaka ze wsi w moim wieku uważałbym to za niepokojące, bo u niego marzycielski sentymentalizm nie wyodrębniając się z innych podstaw, nie pozwoliłby mu prowadzić wsi na nowe drogi — ku żarówce i chodnikowi. Kontynuowałby tradycje swego dziadka o opłotkowych horyzontach, tym bardziej cennych, że oglądanych nadto oczyma artysty. Na owo roztkliwianie się nad uciekającym pięknem wsi archaicznej, pozwalam sobie wobec tych, którzy patrzą na nie jak esteci, jak synowie wsi polskiej jak historycy; w rozmowach z młodzieżą byłem zawsze rzecznikiem postępu.

Na odjezdnym z Bogumiłowic żegnając się z pewnym chłopem - działaczem, nie płakałem za ginącym urokiem wsi zacofanej, ale wyraziłem życzenie, abym za powrotem mógł już ujrzeć wreszcie chodnik, który by pokrył to metrowe błoto, jakie z wielkim samozaparciem przez sześć lat wojny miesiłem.

PIOTR OŻAROWSKI:

Z głosów wypowiadanych padają i takie argumenty: chłop zapoznawszy się z cywilizacją maszynową, z literaturą ogólnoludzką, traci swe wartości dodatnie, a nie będzie zdolny do wchłonięcia wartości innych. To są już wypowiedzi, które irytują bardzo i dowodzą, że mania opiekuńcza nad „młodszą bracią" nic nie utraciła na aktualości. Niejedni koniecznie chcieliby widzieć w Polsce „rezerwat" naiwnych chłopków, którzy byli dostarczycielami wycieczkowych wrażeń ze wsi i tematów na oklepane frazesy „ludomanii". Przecież ze społeczno-państwowego punktu widzenia najgoręcej życzyć by należało, aby najliczniejsza warstwa narodu jak najprędzej stała się **równorzędna w tworzeniu i konsumowaniu produkcji umysłowej i artystycznej — ogólnonarodowej.** Kultura ludowa nic na tym nie traci, a ogólnonarodowa kultura dużo zyska. Bo te wszystkie elementy kultury ludowej, które ceniliśmy jako plusy w wartościowaniu społecznym, wcale nie będą przytłumione przez asymilację z kulturą ogólnoludzką. Bo źródłem wiecznie świeżym dla tych plusów kultury ludowej są specyficzne warunki życia w wielkiej społecznej i geograficznej przestreni.

Czas najwyższy, abyśmy wyszli z opłotków parafiańskich pojęć o rożnicowaniu klasowym i weszli w „szeroki świat dziejowy". Nie tylko my sami żyjemy na świecie. Właśnie uważam, że kiedy nadejdzie ten czas, iż w domu rolnika polskiego lekturą zwykłą będzie typ wydawnictwa „Bibl. Laureatów Nobla", Biblioteka Wiedzy, Mickiewicz i Szekspir, to ten czas będzie napewno czasem osiągnięcia słusznych żądań chłopów polskich w dziedzinie politycznej, kulturalnej, gospodarczej. Półanalfabeci nie zwyciężą, choćby mieli i programy dobre i wodzów. Dlatego nie zwyciężą — bo nie będzie komu podjąć ciągłości pracy. Ale też półanalfabeci nie sięgają po lekturę wspomnianego typu. W tym niesłychanie ważnym procesie dziejowym, przez jaki obecnie przechodzimy, tylko harmonijne wzajemne przenikanie wartości kulturalnych ludowych i stworzonej dotychczas kultury ogólnonarodowej daje rękojmię, iż skrystalizuje się typ kultury ogólnonarodowej, w której każdy członek społeczności polskiej będzie miał swą część i z której to skarbnicy będzie mógł zaczerpnąć rzeczy jemu odpowiadające. Kultura ludu polskiego stanie się wtedy identyczną z kulturą Narodu Polskiego.

Konkurs Miesięcznika „Teatr Ludowy"

Redakcja miesięcznika „Teatr Ludowy" ogłosiła **Konkurs na najlepsze opracowanie rocznego planu pracy teatralnej w zespole.**

Celem konkursu jest zachęcenie ochotniczych zespołów teatralnych w Polsce, a to: chłopskich, robotniczych, żołnierskich, szkolnych, świetlicowych, kukiełkowych itp., do opracowania własnego planu działalności artystycznej i stosowania go w pracy codziennej.

Udział w konkursie mogą wziąć całe zespoły wszystkich wyżej wymienionych rodzajów teatru ochotniczego, a także poszczególni kierownicy, reżyserzy i przodownicy teatralni.

Plan pracy winien obejmować okres roku kalendarzowego od 1 stycznia do 31 grudnia lub roku oświatowego od 1 września do 31 sierpnia. Do planu pracy powinien być dołączony szczegółowy kalendarz prac. (Przedtem należy przeczytać artykuł drukowany w „Teatrze Ludowym" z listopada — grudnia 1946. Osoby nie posiadające tego zeszytu „Teatru Ludowego" mogą go zamawiać bezpłatnie w Redakcji, zaznaczając, że jest potrzebny w związku z konkursem).

Plan pracy wraz z kalendarzem należy oznaczyć godłem. Tym samym godłem winna być oznaczona zaklejona koperta, w której należy umieścić imię i nazwisko autora, jego zawód główny, nazwę teatru ochotniczego, w którym pracuje i dokładny adres pocztowy, a w wypadku, gdy plan jest pracą zbiorową całego zespołu — jego nazwę, przynależność organizacyjną i dokładny adres.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa w dniu 1 września 1947 r. Ogłoszenie wyników Konkursu nastąpi w listopadowym zeszycie „Teatru Ludowego" z 1947 roku. W skład Sądu Konkursowego wejdą członkowie redakcji „Teatru Ludowego" i zaproszone przez nich osoby, których nazwiska zostaną ogłoszone.

Redakcja „Teatru Ludowego" przeznacza dla uczestników Konkursu 10 nagród:

I nagroda — biblioteczka teatralna o 30 tomach.

II nagroda — biblioteczka teatralna o 20 tomach.

III—V nagrody — biblioteczka teatralna o 10 tomach.

VI—X nagrody — bezpłatna prenumerata roczna „Teatru Ludowego".

Najlepsza praca nagrodzona zostanie wydrukowana w „Teatrze Ludowym". Prace konkursowe oraz wszelkie zapytania w sprawie Konkursu kierować na adres: Redakcja mies. „Teatr Ludowy", Warszawa 22, ul. Reja 9.

Gimnazjum Rolnicze w Jeleniej Górze

Dyrekcja Państwowego Koedukacyjnego Gimnazjum Rolniczego w Jeleniej Górze podaje do wiadomości, iż wpisy do Zakładu rozpoczynają się w dniu 16 czerwca b. r. Przyjmuje się kandydatów i kandydatki do klasy pierwszej, drugiej i trzeciej.

Do podań należy dołączyć: metrykę urodzenia, świadectwo szkolne, (dla kandydatów do kl. pierwszej, zasadniczo 7 klas szkoły powszechnej, w razie braku tegoż, obowiązuje egzamin orientacyjny), poświadczenie ewent. praktyk rolnych, oraz własnoręcznie napisany życiorys (opłata wstępna 200 zł., pozatym innych opłat się nie pobiera. Zakład posiada internat męski i żeński, liczba miejsc ograniczona!). Pościel należy przywieźć ze sobą. Utrzymanie w Internacie w cenie kosztów własnych, na zasadzie Spółdzielni obecnie 1.500 zł miesięcznie, koszta mogą się zmienić w zależności od wzrostu lub spadku cen rynkowych artykułów żywnościowych.

Praktyka rolna w majątku szkolnym. Zakład posiada nowoczesne pomoce naukowe, (projekty, mikroskop itp.), oraz pracownię chemiczną. Nauka rozpoczyna się 15 września.

Możliwa specjalizacja w mechanice rolniczej.

Ze względu na ściśle ograniczoną ilość miejsc w internacie uprasza się o wczesne zgłoszenia.

Informacji udziela Dyrekcja: Jelenia Góra, Kraszewskiego 8 (obok Dworca Głównego). Telefon 26.01.

W najbliższych numerach
ogłoszenie wyniku konkursu
na sztukę dla Teatru
LUDOWEGO

Komunikat

Zawiadamiamy, że z dniem 1 czerwca 1947 r. redakcja i administracja tyg. „Wieś" przeprowadziła się do nowego obszernego lokalu przy ul. Piotrkowskiej 133.

Korespondencję prosimy kierować na adres:

ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 133
albo
Łódź — skrytka pocztowa nr 72

ODWOŁANIE ZJAZDU ROLNIKÓW WYCHOWANKÓW U. P.

Komitet Organizacyjny I. Powojennego Zjazdu Rolników Wychowanków U. P. zawiadamia, że wobec wynikłych w ostatniej chwili przeszkód technicznych Zjazd Koleżeński Rolników Wychowanków U. P. zwołany na dzień 6 i 7 czerwca b. r. do Poznania został odwołany.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.
Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, ½ kolumny zł. 30.000, ¼ kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—017405